

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 7 września 1947 r.

Nr 36 (93)

TREŚĆ NUMERU: W. Kętrzyński: List otwarty do p. Jerzego Brauna, redaktora „Tygodnika Warszawskiego”, Z. Lichniak: Dywersanci literatury, W. Kieszkowska: Ulubieniec sceny Warszawskiej, W. Strzałkowski: Modlitwa do N. Marii Panny, St. Podlewski: Przemarsz przez piekło.

Jan Dobraczyński

## POETA PRZEMILCZEŃ

Toczyła się u nas niedawno dyskusja na temat: źle czy dobrze dzieje się w literaturze polskiej. Kisielowski twierdził, że się dzieje źle, bo pisarze coraz mniej żyją życiem współczesności i coraz więcej mają kłopotów, pozbawieni będąc możliwości utrzymania się ze swej pracy, traktowani są przez rozmaite urzędy jako niepotrzebna, „nietwórcza”, „nieprodukcyjna” hałastra. Dużo w tym jest prawdy. Wat twierdził odwrotnie, że w literaturze dzieje się dobrze, ponieważ liczba pisarzy rośnie, wyrastają nowe talenty, debiutanci wspomagani są przez czasopisma literackie, coraz bogaciej zarysowują się nowe kierunki w literaturze. I to także nie jest pozbawione słuszności. Wbrew trudnościom literatura żyje i rozwija się. Wbrew trudnościom powstają naprawdę rzeczy cenne. Na ołbrzymią większość swych kłopotów literatura w Polsce sama nie znajduje sobie lekarstwa, ale potrzebna jest tu pomoc państwa, społeczeństwa itp. Jeśli jednak tak jest — to równocześnie trzeba stwierdzić, że całego szeregu kłopotów życia literackiego można się pozbyć własnymi siłami. Do nich przede wszystkim należy kłopot z fałszywą miarą jaką się obecnie coraz częściej przykłada do dzieła sztuki.

Literatura ocenia literaturę. Jeśli miara oceny jest miarą literacką — wszystko w porządku. Niestety — nie często mamy z taką do czynienia. Ni stąd ni zowąd — pod pokrywką jakichś psychologizmów, idealizmów, subiektywizmów — albo wprost, bez jakiegokolwiek przykrywkę na terenie literackim przeprowadza się rozgrywkę sympatii lub antypatii politycznych, a jeszcze częściej osobistych. Ba, gdybyż chodziło o surowszą niż zwykle ocenę, o wyższe, stawiane wobec przeciwników wymagania. Nie stawia się ich wcale! Rzecz przekreśla się po prostu mniej lub więcej zjadliwym dowcipem, zaś w poważniejszej sytuacji — przemilcza.

Mówi się, że literatura w Polsce ucieka od współczesności. Ale któż chciał się zainteresować drukowaną tu i tam fragmentami powieścią E. Paukszty „Trud ziemi nowej”, przedstawiającą bo rykanie się z trudnościami pracy na ziemiach odzyskanych chłopów - przesiedleńców z Wileńszczyzny? Kto pomyślał, że czas, aby ukazały się drukiem opowieści chłopie R. Tomczyka? Kto się zainteresował dłaczego nie

nie pisze W. Burek? Kto wie dlaczego milczy Stanisław Nędza Kubiniec, z jakimi trudnościami walczy Hanka Nowobiliska? Współczesność? Czyż nie o współczesności piszą Oleksik, Trasik, Ozóg, cała plejada młodych pisarzy chłopskich, których aż wstyd, że nikt nie zna. „Kuźnica” woła o literaturę ludową, lecz jej czołową poetką jest przemiała i przesubtelna, nieomal eteryczna J. Hartwig, jej reprezentantem psychologizujący, przeintelektualizowany, mieszczański, balzakowski - proustowski p. Hertz. Gdy się przemilcza literaturę chłopską — cóż przyjdzie z wołania o literaturę chłopską? Ale przemilcza się nie tylko młodych, nie tylko początkujących. Największy poeta polski, dziwaczny ale wspaniały, z taką zawziętością wykuwający formę swych utworów, tak drapieżnie ciekawy najtajniejszych odruchów ludzkiego serca, poeta myśli, a nie słów, filozof rymów, których rytmowi trudno nadażyć — Wojciech

Bąk — żyje jako jakieś „enfant terrible” literatury, zaledwie spostrzegany przez malutkich krytyków, a przeważnie w ogóle nie spostrzegany, przemilczany równie łatwo przez prasę marksistowską jak i katolicką. Gdyby Bąk żył we Francji, cieszyłby się sławą Rimbaud czy Verlame'a. Gdyby taki Gołubiew urodził się w Rosji, jego książka „Piotra Pierwszego” Tołstoja. Gdyby żył w małej Norwegii powieść jego cieszyła by się sławą jaką cieszy się „Sigryda, córka Lawrance”. U nas nie! U nas jeden z drugim bubek chwali się że tomu nie doczytał do końca, bo go on znudził, albo go nie zrozumiał, bo on rozumie tylko to, co się wypisuje kredą na płocie, ale nie rozumie wspaniałej stylizacji języka, dokonanej przez Gołubiewa. Owszem — książkę Gołubiewa wyróżniono, ale nikt dotychczas „Odrodzeniu” nie miał czasu przeczytać wyróżnionego przez „jury” dzieła! A taki Rembek! W

jego ostatniej powieści realizm ma miarę Alberta Camus aż tętni życiem. Tylko, że Camus uchodzi za sławę Francji. Jego „L'etranger” uważany jest za arcydzieło. Kto u nas, w imię literackiej prawdy, napisał ile jest warta proza Rembeka, jak cenna jest jego znajomość psychologii ludzkiej, jak głębokie — a przecież wolne od ohydnych babrania się w błocie — wejście w upadek człowieka?

W literaturze polskiej ostatnich lat są już rzeczy wielkie i cenne. Trzeba do nich tylko przyłożyć miarę — odważną i szczerą — miarę sztuki. Bez uprzedzeń. Bez kwalifikowań pisarza wedle pisma. W którym pisze, wedle środowiska z którego pochodzi. Bez apoteozowania blagi, nędzoty i grafomaństwa.

Przemilcza się u nas dużo rzeczy, zwłaszcza niewygodnych. Te przemilczania wykrzywiają rzeczywistość. Przed paru mie-

siącami na marginesie wspomnianej powieści J. Putramenta „Rzeczywistość” przypominano sobie w prasie o przedwojennym, wileńskim ośrodku kulturalnym. Racja — to był tegi ośrodek. Od filarecko - filomackich czasów nie było w tym mieście, takiego skupienia talentów i ludzi z prawdziwego zdarzenia. Ale owa „grupa Dembińskiego”, o której pisze Putrament (Dembiński, Westfalewicz - Dembińska, Jędrzychowski, Putrament), to była tylko część fermentującego zaczynu. W Wilnie wtedy pisał swoje „Trzy zimy” fascynujący Czesław Miłosz. Tam poczynało się wstrząsające siłą przecucie „nadejścia wroga” Jerzego Zagórskiego. Tam budziły się pewne strofy poezji L. Westfalewicz — Siostry Nulli. Stamtąd pisał swój manifest Gałczyński. Tam pisali Gołubiew, Jasienica, Stomma, Sławińska, Trościanko. Stamtąd wywodzi się także Aleksander Rymkiewicz...

Rymkiewicz nie należy do poetów tworzących wiele. Nie ma w nim walki o wyrażenie najtrudniejszych skłębień myśli jak u Bąka. Nie ma w nim rozigrania poetycznego, księżycowego nieco, bezczłowiecznego — jak u Miłozsa. Nie ma w nim werbli bijących twardo, a przejmująco — jak u Broniewskiego. Nie ma w nim cierpieliwej zadumy, misternie podchwyczonych stanów lęku — jak u Jastruna. Nie ma w nim onomatopiecznej nieomal kadenccji, myśli przetopionej w symbole uczuć — jak u Zagórskiego. Nie ma w nim proletariackiej pasji — jak u Dobraczyńskiego. Nie ma w nim akrobatyki słowa — jak u Gałczyńskiego. Nie ma w nim melodyjnej zadumy, — jak u Pietrkiewicza.

Poezja Rymkiewicza\*) ma swój własny i tylko własny ton. Nie wiem — naprawdę nie wiem — czy mi się go uda podchwycić. Nie czuję się mocno, pisząc o poezji. Była ona dla mnie zawsze czymś nieosiągalnym, czymś nie dotkniętym. Myśląc o poezji, myślałem o delikatnym kwiecie, na który można patrzeć, ale którego nie należy dotykać.

Lecz jeśli przychodzi mi już mówić o poezji Rymkiewicza, to wy daje mi się, że jej właściwością jest umiejętność „czucie instynktami”. Czucie sercem jest czuciem, tylko w pierwszym porywie nieświadomym. Amo — ergo sum

\*) Aleksander Rymkiewicz „Z narodem” wyd. Panteon, Warszawa, 1947 r., str. 128.

### Wytyczne

Nadeszła godzina w której można oddać największą przysługę Kościołowi i Jego synom: należy stworzyć „Summę chrześcijańską” świata, który się rodzi. Największym błędem chrześcijan w. XX, którego potomność nigdy by im nie wybaczyła, byłoby pozwolenie światu na zjednoczenie się bez nich, bez Boga, lub przeciw Niemu. Byłaby to ucieczka od apostołskiego obowiązku. Błędu tego nie wolno popełnić! Jest to wielki przywilej naszych czasów, że możemy rozpocząć dzieło, które inni doprowadzą do końca, stworzenie humanizmu na miarę świata i podobieństwo Boże. Pod tym warunkiem i tylko pod tym warunkiem Kościół może pełnić swą misję, stając się w przyszłości tym, czym był w średniowieczu dla Zachodu: ośrodkiem duchowym świata. Cywilizacja ateistyczna i antychrześcijańska, którą głosi się w naszych czasach, musi ustąpić miejsca „kulturze uświęconej”, „chrześcijańskiej przemianie życia”. Czyż jest potrzebne przypominać, że zadanie to przypada w udziale intelektualistom, tak, jak to było w wczasach wielkich Doktorów Kościoła? To oni muszą z całą siłą przyczynić się do tworzenia społeczności chrześcijańskiej i Królestwa Bożego, które winno być poszukiwane przede wszystkim. Zasadniczy obowiązek apostołski, na przelomie w którym się znaleźliśmy, leży w dziedzinie Myśli. Kościół znajduje się na „zakręcie”, na którym może wszystko stracić, lub wszystko wygrać, zależnie od rozwiązań, które przedstawi ludzkości.

(wyjątek z listu pasterskiego J. E. ks. kardynała Suchard, arcybiskup Paryża z r. 1947)

## W kraju...

### REKTORZY POTEPIAJĄ „PODZIEMIE”

NA KONFERENCJI rektorów wyższych uczelni, która odbyła się w ubiegłym tygodniu w Warszawie, powzięto uchwałę potępiającą działalność podziemia i wyrażającą żal, że w szeregach nielegalnych organizacji znalazły się jednostki z polskiego świata naukowego. To ostatnie stwierdzenie pozostaje w związku z toczącym się obecnie procesem 17-tu w Krakowie.

Dobrze się stało, że przedstawiciele nauki w Polsce nie zawahali się użyć swego autorytetu w ocenie zjawiska, wciąż jeszcze ciężącego nad naszym życiem narodowym i państwowym. Oświadczenie rektorów ma szanse znalezienia właściwego oddźwięku w opinii publicznej, świadomej ponadpartijnego sensu uchwały.

Nie będąc zwolennikami odgradzania uniwersytetów „murem chińskim” od rzeczywistości, jesteśmy zdecydowanie przeciwni wszelkim próbom zmierzającym do upolitycznienia nauki. Uchwała rektorów została podjęta przez rację znacznie wyższego rzędu niż doraźny wzgląd partyjny. Nie reprezentuje interesu partii. Jest konsekwencją patriotycznej postawy ludzi, którzy polityką się nie zajmują, lecz skąd inąd cioszą się zaufaniem społeczeństwa. Mimo to uchwała może okazać się korzystną dla Państwa w doraźnych skutkach politycznych.

Miłość jest świadomością, bytu. Ale „czucie instynktem” tkwi niejako poza bytem, przed bytem, antycypuje go, wyrasta siłą pierwotną, nieujarzmioną, nieustępliwą jako coś, co wiąże człowieka z ziemią i z niebem. Kto kocha — ten wie co kocha. „Czucie instynktem” nie zna konkretnych obiektów. Ogarnia sobą cały świat życia człowieka: ziemię, jego rodzinę, dom, naturę, ludzi, zwierzęta.

...Na takiej ziemi i taką jesienią budziły nas świtów srebrzystych grania, podobni sosnom, podobni ptakom rośliny...

Rymkiewicz kocha instynktem. On nie wybiera tego co kocha. Jego miłość jest nieświadoma, porywca, zachłanna. Jest takie proste. Nie ma w niej żadnych skomplikowań.

...Moja poezja idzie wiejską drogą w porannym mrozie, gdy jada ludzkie, prosi: podwieźcie na drewnianym woźwie...

I właśnie trzeba było, aby w tę miłość związaną tak silnie i nierozdzielnie z krajobrazem, w tę poezję i jasną, podobną piosence — padł grom wojny. Poezja Rymkiewicza jest nadto jeszcze poezją dziecinną. Nie dlatego zresztą, żeby miała służyć dzieciom. Ale w niej dziecko — mały Piotruś — jest czynnikiem zasadniczym, istotnym. Gdy Rymkiewicz przemawia do swego Piotrusia nie zmienia tonu głosu. Mówi do niego tak, jak mówi do kra-

czącej wrony, do wiewiórki czy zająca. Piotruś stanowi część świata, który się kocha całym sobą — nie tylko sercem. Wzrokiem, słuchem, dotknięciem.

I właśnie tę poezję dziecinno-paszkwową, drzewno — słoneczną dotknęła groza wojny. Rymkiewicz czuje jej nadejście — nie w symbolach przerażających jak Zagórski — ale w obrazach prostych, jemu właściwych:

to tylko luna — nie wojna,  
wiosenna luna...

Albo gdzie indziej:

„Poezja moja jest pełna głosów  
złowieszczych ptaków ponad  
wioskami,  
chmur, które biegną nad mlynym  
nisko,  
gdzie stuka koło wojennych  
wozów.

— Kwiat wschodzi smutkiem, noc  
pożarami,  
a każda sosna staje się iskrą...

W obliczu wojny nawet „kwiat wschodzi smutkiem”, a każda kotsanka echem tłumionego dramatu. Rzecz charakterystyczna: Rymkiewicz świadomie ucieka od obrazu wojny. Nie ma w nim lubowania się w patosie walki, nie ma też lubowania się w rozparciu i wspaniałomyślności. Przeciwnie — on stara się zagłuszyć w sobie dramat, zamyka swój lęk w zwarte klanry dopowiedzeń. Są one takie proste, przejrzyste i wstrząsające:

„To bardzo prosta bajka jest  
lecz zakończona smutkiem,  
bo przyszedł czas, że w dymach  
las,  
spójrz: martwe krasnoludki...  
albo też:

...I tak się śmiała wesoła,  
zarumieniona i świeża,  
że któż by chciał jej przypomnieć  
ludzi wrzuconych do dołów:  
Oto uczniowie wierni Chrystusa  
i Apostołów  
z gardłem przeciętym bagnietem  
pod ziemią wiosenną leżą...

Poezja Rymkiewicza rośnie i dojrzewa, a w niej rośnie i tkwi czerń wojny. Mój Boże — właśnie takiej wojny! Właśnie wojny podziemnego, ukrytego bohaterstwa, wojny umierania z ran nie zadanych w równej walce. Ten tragiczny poemat agonii — nazwany poematem „Siedmiu dni” — wypowiada najboleśniej żal poety. Dla Rymkiewicza, który jest taki prosty, że ojczyzna jest dla niego zawsze ojczyzną, męstwo — męstwem, bohaterstwo — bohaterstwem, wojna — wojną, nie sposób jest zmienić się w skorupę ślimaka i żyć ślimaczym życiem, gdy obok, na okół płonie wszystko. Budzi go krzyk:  
...wstawaj poruczniku!

Prześcieście wołać. — Zanim  
głos powtórzę  
zblegnę w ulicę z bronią i w  
mundurze...  
Niestety to tylko krzyk snu,

czy może krzyk umierającego przyjaciela. Nie ma rady. Gdy wróg jest silniejszy:

...W rodzinnym kraju człowiek  
przez wojnę zagubiony  
wszedł w drzewo w błyskach  
prochu, sam siebie w drzewo  
zakuł.

Kanarek słodko wabi, a potem  
znów się gniewa,  
że człowiek już nie wyjdzie z pnia  
lipowego drzewa...

Poezja zrosła się z bólem wojny — z bólem rozstań, odchodzeń, tęsknot i pustki:

„Dziś na skalistym mego  
wewnątrz złożu,  
stwardniałym od wojny,

martwym i suchym,  
korzonki zapuszcza tylko jedno  
zióło

i żaden wiatr korzonków nie  
wydmucha

i żadna ręka łodygi nie złamię  
— tli się kwiatkiem bladym zióło  
goryczy

i tylko ja chwięję się nad nim  
słowami...

A przecież wypowiadając się tak jasno i prosto — tak nieomal po dziecinnemu naiwnie — Rymkiewicz nie mówi wszystkiego. Nie należy do poetów, którzy w swej gadatliwości mówią więcej nawet niż to, co jest w nich. Prze milcza po męsku, twarzą wiele spraw. Czasami tylko — jakby niechcący — o dno swych przeżyć zatracą.

Myślę o jego wierze. Ten poeta prawdziwy, głęboki, nieprawdopodobnie szczery, aż do naiwności prosty, dziecinny prawie w swej prostolinijności, nie mógłby być poetą żadnej fikcji. Niech mi wybaczy, że chcę mówić właśnie o tym, co on, jakby świadomie ukrywał. Prawda religijna — prawda zasadnicza — nie potrzebuje być w sztuce tendencją. Przeciwnie. Prawdziwa sztuka — jeśli jest tylko prawdziwą sztuką — dotrze zawsze sama do swych Boskich źródeł. Nie trzeba ani głosić Boga „bezwstydnymi wargi”, ani się z Bogiem „wodzić”. Trzeba tylko przyjmować świat taki jaki jest — sięgający od ziemi aż do nieba. Sztuka jest jak drabina Jakubowa — po niej wspinają się nasze myśli i po niej zsuwa się nasza pycha.

Poezja Rymkiewicza nie jest szukaniem Boga. Ta „pełność uczucia” — właściwa poecie — pozwala mu zawsze Boga mieć na horyzoncie myśli. Jeżeli o Nim mało pisze, nic prawie — to dla tego — jak się zdaje — że nie mówi się wiele o rzeczach najoczywistszych. Po nitce poezji Rymkiewicza do Boga dochodzi się łatwo.

Raz tylko Rymkiewicz wybuchł boleśnie — namiętnym okrzykiem w 7 rozdziale poematu „Siedmiu dni”. Straszliwa niekonsekwencja wiary współczesnych dla wi poetę.

...Bo jakże sprostać mam — tu ewangelie leżą,  
a pył wojenny, bluźniak, okrywa  
księgi święte  
i człowiek nam współczesny  
omija je nietknięte...

Snuje dekalog, zaprzeczony przez współczesnych nie w jego całości — którą się przymiemy, ale w każdym, poszczególnym przykazaniu, które przeinacza. Świat bowiem dzisiejszy nie odrzuca Boga; zabija Go tylko złą modlitwą, złą wiarą, złą służbą uczynków.

Rymkiewicz — poeta przemilczony — jest także poeta chętnie przemilczany: Głucho o nim w prasie literackiej — i tej przeciwniej, i tej bliższej. Pisarz, który się wysunął do czołowej grupy poetów polskich, idzie swą drogą zupełnie sam.

Jan Dobrzyński

### SIOSTRY P.C.K. POLEGŁE W POWSTANIU WARSZAWSKIM

Uprzejmie proszę Szan. Redakcję o umieszczenie w poczytnym tygodniku wykazu poległych sióstr w czasie Powstania Warszawskiego, ponieważ może to mieć duże znaczenie dla poszukujących rodzin.

Siostry Polskiego Czerwonego Krzyża, które poległy w Powstaniu Warszawskim w Szpitalu Ujazdowskim przy ul. Chełmskiej Nr 19 i obok w budynku Rago — od bomb lotniczych broni pokładowej:

1. Abczyńska Julia zginęła 30.8 na sali chorych.
2. Brzeska Maria w drodze na Sadybę.
3. Grabicka Bronisława 11.8 była dwukrotnie ranna, zginęła na sali chorych.
4. Grodzicka Feliksa 30.8 na sali chorych.
5. Kurażew Katarzyna 14.9 w kuchni.
6. Kutkowska Irena 15.9 dwukrotnie ranna, zginęła od broni pokładowej.
7. Likon Stanisława 30.8 na sali chorych.
8. Łukomska Elwina 30.8 w budynku Rago.
9. Narbutt Alberta 30.8 na sali chorych.
10. Narkon Stanisława 30.8 w budynku Rago.
1. Rolińska Władysława 14.9, siostra gospodarza, w kuchni chorych.
2. Sterieb Ludwika 30.8 w budynku Rago.
3. Wiewiórkowska Natalia 30.8 w budynku Rago.
4. Wilfort Adela 30.8 na sali chorych.
5. Zdrodowska Celina 15.9 z broni pokładowej.
6. Leszkowska Elżbieta w drodze na Sadybę.
7. Marzecka Stefania 14.9 na sali chorych.
8. Czaki Helena 14.9 w kuchni.
9. Skarga Jadwiga 14.9 w kuchni.

#### Posługaczki szpitalne:

0. Grocholska Maria 14.9 w kuchni.
1. Suszyńska Józefa 14.9 w kuchni.
2. Suszyńska Stefania 14.9 w kuchni.
3. Torbińska Józefa zmarła od ran.

Ziemiańska Stefania

## Szpital im. Karola i Marii

### w dniach Powstania 1944 r.

W związku z artykułem, który ukazał się w tygodniku „Dziś i Jutro” Nr 31, podpisanym Andrzeja Otto - Tonchu Ru, prosimy Sz. Redakcję o umieszczenie poniższego sprostowania:

Autor opisuje dzieje walki K. N. w czasie Powstania. W rozdziale zatytułowanym „Służba Sanitarna”, na str. 5 pisząc o grupie sanitarnej K. N. w szpitalu dziecięcym Karola i Marii wyraża się o pracy tej grupy w superlatywach, w stosunku zaś do personelu stałego, jako całości wyraża jedynie bezpodstawne zarzuty, godzące w dobre imię ludzi, pracujących z pełnym poczuciem obowiązku jak również w dobre imię instytucji.

W związku z tym wyjaśniamy: Z artykułu O. T. odnosi się wrażenie jakoby na terenie szpitala im. Karola i Marii pracowała przede wszystkim grupa sanitarna K. N., personel zaś stały nie istniał zupełnie, bo „krył się po szafach”. W rzeczywistości sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Personel stały szpitala im. Karola i Marii, którego znaczna część brała czynny udział w pracy konspiracyjnej, gdzie odbywało się szkolenie personelu sanitarnego AK, na rozkaz władz sanitarnych, przygotował szpital do roli punktu opatrunkowo - sanitarnego i zaopatrzeniowego na wypadek powstania.

Z chwilą wybuchu powstania wobec stałych okoliczności samorzutnie przystosował szpital do niesienia pomocy dorosłym powstańcom i ludności cywilnej. Wymagało to nielada wysiłku i sprytu. Personel ten pracował cały czas z pełnym poczuciem obowiązku, aż do czasu wypędzenia przez Niemców.

Poza personelem stałym szpitala, oprócz grupy sanitarnej K. N., było jeszcze szereg lekarzy i sióstr AK, o których OT zupełnie nie wspomina. Nie chcąc w najmniejszej mierze umniejszać zasług i poświęcenia grupy sanitarnej KN i innych grup, musimy zaznaczyć, że personel ten pełnił w szpitalu jedynie służbę pomocniczą, jako nie mający przeważnie większego doświadczenia. Cała zaś odpowiedzialna praca chirurgiczna i pielęgniarska spoczywała wyłącznie na barkach personelu stałego szpitala. Fachową pomoc chirurgiczną otrzymał szpital dopiero w czwartym dniu powstania wieczorem z chwilą przybycia śp. dr Kmiciekiewicza — człowieka wielkiego charakteru i doskonałego chirurga, który część odpowiedzialnej pracy chirurgicznej wziął na swoje barki.

Po przejściu do szpitala Wolskiego, gdzie pozostał jedynie cudem ocalały dr Z. W. oraz dwie siostry, również przez szereg tygodni praca operacyjna się w dużej mierze na personelu szpitala Karola i Marii.

Nieprawdziwym jest fakt, jakoby zastępca Learkza Naczelnego Dr J. B. (ówczesny Lek. Nacz. Dr. Z. K. był na urlopie) pozostał w ukryciu i nie wystąpił na wezwanie, gdy w czasie wkroczenia Niemców Dr J. B. znajdował się w pawilonie dziecięcym, do którego Niemcy wkroczyli dopiero wieczorem i gdzie pozostawał z dziećmi do rana dnia następnego. Niemcy nie wzywali Lek. Nacz. Sp. Dr Kmiciekiewicza został wywołany z niewidomej przyczyny i po zamienieniu paru słów rozstrzelany na oczach wszystkich.

Przebieg wypadków w szpitalu im. Karola i Marii dla dzieci został przedstawiony możliwie najściślej w pracy zbiorowej umieszczonej w dzienniku „W służbie zdrowia” Nr 6 : 7 z roku 1946 pod tytułem „Dni grozy w szpitalu dziecięcym”.

W tym miejscu podajemy streszczenie najważniejszych wydarzeń, podanych w tej broszurze.

Szpital Karola i Marii na parę dni przed powstaniem nawiązał kontakt z władzami powstańczymi i zgromadził u siebie sprzęt sanitarny, żywność i zapasy broni dla oddziałów mających walczyć na Woli. W budynku szpitalnym umieszczona została grupa powstańcza w liczbie około 50 osób. O dacie wybuchu powstania szpital mimo uprzedniej umowy nie został zawiadomiony, co wpłynęło na przejściowe zdekompletowanie personelu. Personel ten jednak w ciągu następnego 2 — 3 dni nieraz z narażeniem życia przedostał się do swojej placówki.

Szpital K. i M., w planach sanitarnym AK miał pełnić jedynie rolę placówki ambulatoryjnej, pomocy zaś szpitalno chirurgicznej miały dostarczyć szpitale Wolski i św. Łazarza. Ponieważ szpital św. Łazarza nie był przygotowany do wykonywania większych operacji, cały ciężar tej pracy spadł na szpital K. i M. dość nieoczekiwanie. Dzięki jednak ofiarnej pracy personelu, oddaniu do dyspozycji rannych wszystkich łóżek pielęgniarskich i służby, udało się częściowo zaradzić złemu.

Praca na terenie szpitalnym była od wybuchu powstania wyjątkowo ciężka, trwająca dzień i noc, mimo bombardowania i ostrzeliwania szpitala. Niemcy weszli na teren szpitala po raz pierwszy (zandarmeria) dopiero o 11 godz. w południe 6 sierpnia i zaraz opuścili szpital. Po raz drugi weszli o godz. 3 po południu, tym razem byli to karmucy i oddziały SS. Rozpoczęła się normalna grabież, przy czym usunięto z terenu naprzód personel gospodarczy i wypędzono na Pruszków, potem pod groźbą rozstrzelania kazano opuścić

oddział chirurgiczny, niedopuszczając nawet do wykonania rozpoczętej operacji. Personelowi kazano zabrać rannych, przy czym z braku statecznej ilości noszy i personelu do ich niesienia, tylko część ich mogła być wzięta. Po przeniesieniu do szpitala Wolskiego, Niemcy zażądali odniesienia ich spowodem do szpitala K. i M. Na szczęście część rannych udało się pochować i tylko nieznaczna grupa odniesiona była spowodem. Rannych tych wszystkich Niemcy rozstrzelali, a personelowi kazali wrócić do szpitala Wolskiego. W czasie pierwszej pielgrzymki do szpitala Wolskiego, Niemcy wywołali z szeregu d-ra Kmiciekiewicza i rozstrzelali przy rogu Młynarskiej i Górczewskiej.

W szpitalu K. i M. przebywała poza rannymi grupa 40 chorych i rannych dzieci, które przeniesione zostały do oddzielnego pawilonu przy ul. Żytniej.

Wobec obstrzału ze strony oddziałów powstańczych będących jeszcze przy ul. Żytniej, Niemcy weszli na ten oddział dopiero wieczorem 6-go sierpnia. Na tym oddziale pozostawał od rana dr J. B. z niewielką grupą pielęgniarek.

Pawilon ten pozostawał pod ciągłym obstrzałem Niemców, atakujących poprzez szpital Żytnią i Karolkową. Pawilon ten był dwukrotnie podpalany przez Niemców wobec czego dwukrotnie trzeba było wynosić rannych i dzieci z budynku na dwór. O godz. 6 rano obie grupy dziecięce znalazły się pod ciężkim obustronnym obstrzałem. Jedną z tych grup mając dwie pielęgniarki ranne i dwoje dzieci rannych usunięta została z terenu siłą przez Niemców i skierowana do szpitala Wolskiego. Druga grupa dopiero wieczorem mogła być ewakuowana, mając parę dzieci zabitych i ranną jedną pielęgniarkę (siostrę Dabrowską), która do końca opiekowała się swoją grupą.

O ciężkich warunkach w jak znajdował się zespół personelu 6 i 7 sierpnia świadczą straty — 2 pielęgniarki ranne, jedna zabita, jeden posługacz zabity, parę dzieci rannych i zabitych.

Nie rościmy sobie najmniejszej pretensji do bohaterstwa, mamy jednak pełne prawo wymagać, aby za naszą ciężką pracę spotkała nas uczciwa ocena.

Nie chcemy posadzać autora o złą wolę, sądzymy raczej, że autor działał w dobrej wierze, korzystając z mylnych informacji, że krzywdę, którą wyrządził, postara się naprawić.

Personel Szpitala  
im. Karola i Marii

# LIST OTWARTY

do p. Jerzego Brauna, redaktora »Tygodnika Warszawskiego«

Panie Redaktorze.

Są sprawy, które nie należy poruszać w publicznych, prasowych dyskusjach. Do nich należy przede wszystkim te, które dotyczą wewnętrznych stosunków między poszczególnymi środowiskami katolickimi w Polsce. Z uwagi na drażliwość tematu, z uwagi na szczególną sytuację polskiego obozu katolickiego, w walce o swój autorytet i swoje prerogatywy — uważałem dotychczas, że sprawy wewnętrznych rozdrzewnień nie powinny wpływać poza zamknięte drzwi międzyśrodowiskowych rozpraw. Stanowisku swemu dawałem wyraz tak publicznie, jak i w licznych prywatnych rozmowach.

Postawa niektórych pism katolickich, wśród których »Tygodnik Warszawski« dzierży prym w udzielaniu swych łam dla ataków dyktowanych wyłącznie ciasnymi interesami grup, zmusza mnie do zrewidowania dotychczasowej za sady. Gdy my głosimy zasadę so lidarności obozu katolickiego, gdy my powstrzymujemy się z wszelką krytyką przeciwników wewnątrz własnego obozu, gdy my upominamy się o częstsze międzyśrodowiskowe spotkania, na których, w atmosferze szczeroci i wzajemnego zaufania można by rozpatrywać różnice poglądów — Tygodnik Warszawski od pewnego czasu daje przykład braku poczucia jedności i braku odpowiedzialności.

Zmusza to mnie do zajęcia w tej sprawie stanowiska publicznego. Zmusza to do wyjaśnienia na oczach całego społeczeństwa na czym polegają konflikty, które niepotrzebnie wychodzą na łamy prasy, zmusza do potępienia metod, naszym zdaniem nie liczących z katolickimi zasadami. Trzeba odsłonić sprawy przykre i bolesne, dla oczyszczenia atmosfery, dla wspólnego dobra sprawy katolickiej i sprawy polskiej.

Między środowiskiem, grupującym się wokół »Dziś i Jutro«, oraz wokół »Słowa Powszechnego«, a środowiskiem, grupującym się wokół »Tygodnika Warszawskiego« trwa od pewnego czasu konflikt. Gdy dotychczas pragneliśmy spór ograniczyć do płaszczyzny stosunków wewnętrznych — »Tygodnik Warszawski« raz po raz wydobywał te tarcia na światło dzienne.

O co chodzi?

Czy o kardynalne założenia katolickie? Nie — religia katolicka nie pozwala tu na żadną dowolność, zresztą żadnej polemiki merytorycznej w prasie katolickiej nie było. Czy o katolicką doktrynę społeczną? Nie — w jej dotychczasowych sprecyzowaniach ogólnych obie strony są zgodne, czego dowodzi dyskusja wokół też głoszonych przez p. Studenta wicza, rozbieżności, jeśli są, dotyczą zagadnień wykonawczych, w tej chwili drugorzędnych.

Od samego początku różnice dotyczyły wyłącznie spraw politycznych. Dotyczyły decyzji i poglądów czysto aktualnych, odnoszących się do celów i metod działania politycznego środowisk katolickich w ramach dzisiejszej rzeczywistości.

W listopadzie 1946 obie grupy stanęły nawet na tej samej płaszczyźnie założeń politycznych, co wyraziły ustami swoich przedstawicieli na wspólnym spotkaniu. Mimo tego różnice czysto taktyczne i personalne uniemożliwiły współpracę, którą już parokrotnie proponowaliśmy naszym kole-

gom spod znaku »Tygodnika Warszawskiego«. Od tej chwili rozbieżności zaczęły rosnać. Gdy środowisko »Tygodnika Warszawskiego« głosiło, że można działać politycznie tylko na marginesie dzisiejszej rzeczywistości, gdy sądziło, że wystarczy wysuwać hasła i postulaty tylko negatywne i trwać w swoistym »splendid isolation« w stosunku do spraw aktualnych, bo każde zetknięcie z obcą ideologicznie rzeczywistością kała czystość wyznawanej doktryny — twierdziliśmy, i twierdzimy w dalszym ciągu, że:

1. Dziś gdy walka ideologiczna toczy się między dwiema odmianami materializmu — oboz katolicki niezależnie od do rażnych interesów, wiążących go dorywczo, winien zachować postawę niezależną w walce o nową epokę. Walcząc o rzeczywistość zgodną z naszymi ideałami nie możemy się wyrzeczyć możności apostołowania zasad katolickich w obu obozach.

2. Sytuacja narodu polskiego wymaga od każdego Polaka, a tym bardziej od katolika postawy aktywnej i czynnej, zdolności zachowania czystości ideowej z jednoczesną pozytywną pracą nad utrwaleniem przyszłości Polski. Fakt, że dziś na naszą rzeczywistość uzyskali przemożny wpływ ideowi przeciwnicy nie zwalnia nas z obowiązku działania tam wszędzie, gdzie nad programami politycznymi górują nadrzędne interesy narodowe.

3. Siły moralne i fizyczne obozu katolickiego są dostatecznie duże (pod warunkiem zachowania solidarności wewnętrznej), by nie potrzeba było się obawiać zetknięcia w działalności z obozami przeciwnymi ideowo. Temu minimalizmowi moralnemu przeciwstawiamy twierdzenie, że tylko bez pośredni kontakt z przeciwnikiem umożliwia ofensywę apostołstwa chrześcijańskiego w obozie materialistycznym. Bez tego apostołstwa można liczyć na »prze trzymanie« a nigdy na zwycięstwo.

Oto powstałe różnice, oto źródła konfliktów. Oto dlaczego my, mimo rzucania nam kłód pod nogi przez antagonistów we własnym obozie rozwijamy naszą pracę w kierunku zwiększania kontaktu z rzeczywistością, zachowując przy tym nieugiętą i czystą postawę ideową, podczas gdy nasi antagoniści wysilają się, by naszą pracę hamować.

Problem, czy w ramach powyższej zakresłonych zagadnień katolicy mają prawo się różnić — pozostając nadal katolikami — oddajemy pod sąd całego społeczeństwa katolickiego.

Naszym zdaniem, różnice powyższe, jakkolwiek powinny prowadzić do polemiki i do starć, nie powinny rozbić poczucia solidarności i wspólnych zasadniczych poglądów między katolikami. Tymczasem na łamach »Tygodnika Warszawskiego«, lub z instygacji zespołu wokół tego tygodnika się grupującego, ukazują się od pewnego czasu notatki, których celem jest stworzenie pozorów wyłączenia środowiska grupującego się wokół »Dziś i Jutro« ze wspólnoty obozu katolickiego. Do tego, jak się okazuje miała służyć »lista prasy katolickiej«, w której, jak powtarza »Tygodnik Warszawski« — »z rozmysłem o puszczono »Dziś i Jutro« oraz »Słowo Powszechnie«.

Te i podobne metody są naszym zdaniem niemoralne i w sposób absolutny szkodliwe dla sprawy katolickiej w Polsce. Nie odmawiając nikomu prawa sążenia naszych poglądów i wyrażania tego sądu, jednak domagamy się, by subiektywne czyjeś poglądy były wyrażane tak samo jasno i niedwuznacznie, jak i my je przedstawiamy.

Mam tedy prawo zapytać Pana, Panie Redaktorze, w czym imieniu i na jakiej podstawie dokonujecie Pan klasyfikacji katolików i katolickich wydawnictw?

Zapytana przez nas nasza Władza Duchowna oświadczyła nam bowiem, że »lista prasy katolickiej« jest prywatną inicjatywą paru osób, że nie została natomiast dokonana przez Episkopat Polski. Stanowi ona więc dowolną klasyfikację podług poglądów i potrzeb autorów. Jest nam nawet wiadome, że celowość podobnej listy była w poważnych kołach katolickich kwestionowana, i nie wszystkie pisma przedrukowywały je z takim pośpiechem i zadowoleniem, jak właśnie »Tygodnik Warszawski«.

Wojno przeciw redakcji »Tygodnika Warszawskiego« taki spis zestawiać według własnych poglądów, pod warunkiem jednak, by podkreślić na czyją odpowiedzialność spis był sporządzony. Rzetelność wymaga również by podziału dokonać uczciwie. Jeżeli przyjmuje się zasadę, że spis obejmie tylko pisma będące w bezpośredniej dyspozycji Episkopatu, to winien on obejmować tylko czasopisma wydawane przez Kurie Biskupie, lub przez zgromadzenia zakonne. Tymczasem —

Tygodnik Warszawski wydawany jest przez prywatną spółkę wydawniczą. Zapytywane przez nas nasze Władze Duchowne oświadczały nam parokrotnie, że pismo to nie stanowi organu Kurii Warszawskiej i poglądy tam wyrażane są na wyłączną odpowiedzialność redakcji.

Miesięcznik »Znak«, wymieniony przeciw na »liście prasy katolickiej wychodzi w identycznych warunkach, co np. »DZIŚ I JUTRO« — redagowany przez świeckich na ich wyłączną odpowiedzialność.

Albo więc należało dokonać spisu całej prasy reprezentującej oboz katolicki, zaznaczając przy tym, że np. »Dziś i Jutro« jest pismem redagowanym przez grupę świecką na jej wyłączną a nie Hierarchii Kościoła odpowiedzialność, jak to w swoim czasie ogłosił poznański »Głos Katolicki«, albo też należało spis ograniczyć wyłącznie do wydawnictw religijnych, wydawanych przez Kurie i Zakony.

II. Naszym zdaniem nie istnieje i nie może w Polsce podział na katolików »koncesjonowanych« lub »nie koncesjonowanych«. Naszym zdaniem poza sprawami zastrzeżonymi kompetencji Kościoła, każdy katolik ma prawo głosić swe poglądy i bronić ich słuszności. To zaś jest katolickie co jest zgodne z zasadami nauki katolickiej.

Walczymy nie o tytuł, lecz o miejsce wśród publicystyki katolickiej nie tylko dla tego, że poglądy nasze są zgodne z zasadami wiary, lecz dla tego, że uważamy je za słuszne i dla sprawy katolickiej Polski użyteczne. Nikt nam nie próbował nawet udowodnić czy to niezgodności z wiarą katolicką, czy to działania na

szkodę sprawy. »Tygodnik Warszawski« próbuje swe stanowisko obronić tym, że działając na terenie politycznym — tracimy prawa do współuczestniczenia w obozie katolickim.

Nie my jedni stanowimy środowisko polityczne w ramach obozu katolickiego. Wokół »Tygodnika Warszawskiego« grupuje się nie mniej wyraźne środowisko polityczne.

Różnica polega tylko na tym, że gdy my podkreślamy, że bierzemy osobistą odpowiedzialność za nasze poglądy polityczne — wyróżniając je od ogólnokatolickich tez wspólnych celemu obozowi — Panowie prowadzą nie mniej polityczną działalność, zaśnawiając się autorytetem Kościoła i komeżką chłopca sprzedającego pismo w niedzielę po Mszy św. My postępujemy uczciwie i z większym poczuciem odpowiedzialności, wy, ostatecznie postępującie szkodliwie dla sprawy, wciągając niepotrzebnie autorytet Kościoła w sprawy natury czysto politycznej.

Zapytuję więc Pana, Panie Redaktorze, jakie ma Pan podstawy dla odnawiania naszymi pracami miejsca wśród publicystyki katolickiej, i jakim prawem środowisko »Tygodnika Warszawskiego« wytyka nam działalność polityczną, gdy prowadzi ją narówni z nami?

Przedruk w »Tygodniku Warszawskim« z dn. 24 sierpnia br., dotyczący się powyższych kwestyj, podany został bez komentarzy. Daje mi to podstawę do uznania go za wypowiedź redakcyjną.

Jakkolwiek wiem, że w chwili ukazania się tej notatki (Pan, Panie Redaktorze znajdował się na urlopie, jakkolwiek znam Pańskie najzupełniej rzetelne stanowisko w sprawach powyższych konfliktów nie raz zajmowane, to jednak do Pana się zwracam by sprokować, nie odpowiedź osobistą, lecz całego środowiska, które Pan Redaktor reprezentuje. Pytania stawiam i wyjaśniam kulisy konfliktu nie po to by jątrzyć, lecz po to, by wreszcie doprowadzić do szczerzej wymiany myśli, przez wzgląd na nadrzędne dobro całego obozu.

Trzeba się zdecydować na potępienie polityki monopolizowania katolicyzmu dla jednostronnych celów jakiegokolwiek grupy politycznej. Trzeba wzajemnym wysiłkiem odgraniczyć nadrzędną rolę Hierarchii Kościoła Katolickiego w Polsce od różnic i rozgrywek politycznych dzielących poszczególne grupy. Trzeba wreszcie, by te różnice nie wyrosły aż do poziomu rozłamów, rozbiających jedność katolickiego bozu. W tym celu decyduję się otwarcie rozpocząć dyskusję.

Mam głęboką przekonanie, że usłyszmy od Pana odpowiedź również szczerą, pozbawioną chwytów demagogicznych, insynuacji, zabarwioną wspólną troską o dobro sprawy polskiej.

Na tej płaszczyźnie bowiem winny się schodzić nasze wysiłki, bez względu na różnice w konkretnych politycznych programach.

Jeśli nawet ta szczerza dyskusja da okazję naszym przeciwnikom do radosnych, czy ironicznych komentarzy, miejmy głębokie przekonanie, że w rezultacie wzmocni ona tylko naszą wewnętrzną spójność i poczucie wielkości wspólnej sprawy, której na imię — przyszłość Polski.

Wojciech Ketrzyński

W świecie...

Ostatnie kilka tygodni upłyło pod znakiem konferencji międzynarodowych, Najważniejsza z nich toczy się w Londynie z udziałem przedstawicieli trzech państw: Anglii, USA i Francji. Tematem obrad jest oczywiście sprawa produkcji przemysłu niemieckiego.

Jak dotąd nie osiągnięto porozumienia przede wszystkim ze względu na bezkompromisowe stanowisko Francji, sprzeciwiającej się podniesieniu produkcji niemieckiej. Z drugiej strony ZSRR skierował do wszystkich trzech mocarstw noty protestujące przeciwko układaniu planów gospodarczych dla Niemiec bez udziału czwartego uczestnika konferencji pozdamskiej. W tej sytuacji oczy Anglosasów zwrócone na Francję; dalszy jej upór utrudniłby im bowiem zajęcie stanowiska w wypadku ponownych protestów ZSRR.

W Genewie zebrał się delegaci FAO. Jak widać z odczytanych sprawozdań sytuacja żywnościowa w Europie nie nasraja do optymizmu. Sądząc zaś z jalonej, nieistotnej dyskusji prowadzonej w dawnym pałacu Ligi Narodów, FAO nie dysponuje środkami mogącymi skutecznie wpłynąć na poprawę stanu aprowizacji Europy.

ONZ boryka się już od dłuższego czasu z problemem Grecji, Egiptu i Indonezji. Sukces osiągnięty w związku ze sprawą konfliktu indonezyjsko-holenderskiego okazał się pozytywny. Mimo apelu Rady Bezpieczeństwa ponawianego kilkakrotnie, Holendrzy nadal prowadzą działania wojenne.

Sprawy Grecji i Egiptu toną w zgiełku codziennych dyskusji Rady Bezpieczeństwa.

Tymczasem w Grecji wywiązało się przesilenie rządowe. Ustąpienie premiera Tsaldarisa należy tłumaczyć głównie chęcią zrekonstruowania gabinetu idąc po linii wykluczenia przedstawicieli partii o nastawieniu raczej liberalnym. Sądząc z dotychczasowych prób tworzenia rządu Tsaldaris dąży za wszelką cenę do odczyszczenia się wyłącznie populistami.

Wielka Brytania niedługo cieszyć się spokojem panującym w Indiach po ogłoszeniu »niepodległych« państw Hindustanu i Pakistanu. W Pendżabie wybuchły krwawe zamieszki spowodowane przez Hindusów atakujących muzułmanów. Podobno w ciągu pierwszych 10 dni rozruchów zginęło około 100.000 muzułmanów.

## ZAWIADOMIENIE

Dyrekcja Żeńskiego Liceum Przemysłowo-Technologicznego T-wa Szkół Pracy w Warszawie zawiadamia, iż trwają jeszcze zapisy na semestr I licealny — Wydział Chemiczny Ogólny. Kurs nauki jest trzyletni. Trzeci rok poświęcony specjalizacji na wydziałach: farbiarskim, bakteriologicznym, technologiczno-kosmetycznym itp.

Po ukończeniu Liceum absolwent otrzymują tytuł zawodowy technologa-chemika i prawo do wykonywania zawodu oraz prawo do studiów wyższych w charakterze studentki zwyczajnej.

Na semestr I przyjmuje się kandydatki ze świadectwem ukończenia gimnazjum ogólnokształcącego lub zawodowego.

Informacji udziela i zapisy przyjmuje Sekretariat Liceum codziennie od godz. 10 do 14.

Adres: Liceum Przemysłowo-Technologiczne T-wa Szkół Pracy — Warszawa-Zolibórz — pl. Imwańdów 1 m. 50, IV p., tel. 872-65.

Czytając

»SŁOWO POWSZECHNE«

Zygmunt Lichniak

# DYWERSANCI LITERATURY

## 1: GRAFOMANIA — KLĘSKA SPOŁECZNA

Prasa polska wiele już miejsca poświęciła t. zw. „sprawie papieru”. Sprawa ta na tle ostatnich ograniczeń, wynikłych z postulatów gospodarki oszczędnościowej, nabrała charakteru wyjątkowej wyjątkowości. Zatakowano ostro wiele wydawnictw, rozchodzących się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, pożerających setki tysięcy bel białego, drogiego, upragnionego papieru. Jako zasadniczy argument, który ma przynieść zwycięstwo w beznadziejnej walce z hydrą rozwielmożniającego się piśmiectwa, wysuwano dotychczas trudności w dostarczaniu materiału maszynom drukarskim, trudności techniczne, których pokonanie opóźnia wzrastający coraz bardziej zalew grafomanstwa.

„Piszcie mniej, płodni grafomani, a jeśli już piszecie, nie drukujcie swoich wycieczek, bo wartościowe rękopisy nie mogą się na druk doczekać, bo dzięki waszym bzdurom i trzypotrzm chudną i duszą się w zacieśnionych z braku papieru ramach dzienniki i tygodniki pełne wartościowej solidnej treści. Piętnujemy króliczo płodną grafomanię, bo utrudnia ona rozsądne gospodarowanie papierem, bo uniemożliwia ona realizację wielu rzetelnych zamierzeń, wydawniczych!” To zasadniczy ton artykułów, dowcipów, obliczeń statystycznych, wycieczek satyrycznych, jakie wywołał ów „papierowy problem”.

Wkrasie się może tu przykra, a w pewnej mierze uzasadniona obawa, że stracie, jaką życiu kulturalnemu, ściślej mówiąc: poziomowi życia literackiego przynosi klęska grafomanii, skłonni są niektórzy identyfikować ze stratą zadrutowanego jej bzdurami papieru. Papier jest główną wartością o wyratowanie której walczy się we wspomnianej kampanii prasowej. Oczywiście: papier jako środek, jako materiał potrzebny do realizowania planów odbudowy kulturalnej.

Ale papier. Nie zasada, że to co jest złe, jest złe i że zło trzeba tępić w sposób zorganizowany, konsekwentny i bezwzględny. Grafomania jest rzeczą złą. Jest przykrym a w konsekwencjach szkodliwym społecznym schorzeniem.

A w ostatniej kampanii prasowej problem ten zaginał, zmalał, ustąpił przed problemem technicznej natury, przed problemem zapotrzebowania, produkcją i zużyciem papieru. Nie chcąc być źle zrozumiany, Wiem doskonale, że chwyciono się tu argumentów najbezpieczniejszych, aływujących, najbardziej koniunkturalnych, najbardziej dopasowanych do obecnych warunków gospodarczych, najsugestywniej przemawiających zestawieniami liczbowymi.

Ale stworzono jednocześnie sytuację na tyle dwuznaczną, że ktoś zwalczanie grafomanii rozumie tylko w połączeniu z brakiem papieru, tylko w połączeniu z trudnościami obecnego ruchu wydawniczego, a założony, że nadejdzie moment, w którym te trudności znikną, będzie uważał wszystkie dzisiaj zwalczane i ośmieszane wycieczki za normalne, usankcjonowane już stabilizacją warunków przejawy życia kulturalnego. Bo papieru będzie dosyć, a przecież o papier chodziło...

Dlatego warto dzisiaj określić nie dwuznacznie, stanowisko nasze wobec problemu grafomanii, spojrzeć na nią jako na jedno z poważnych schorzeń naszego życia literackiego, ujrzeć w niej narastającą rozmiarami i groźbą smutnych konsekwencji klęskę społeczną.

Serio — klęskę społeczną. Bo wszystko co się podsywa pod literaturę, a literaturą nie jest, szkodzi literaturze. A funkcji społecznych literatury nikomu chyba przypominać nie trzeba. Grafomania, narodziła się z funkcji społecznej, zaniedbała je, wypacza, szkodząc co ipso społeczeństwu. Taki mechanizm destruktywnego oddziaływania grafomanii — podany tu w propagandowym - informacyjnym ujęciu — wymaga wielu uzupełnień i omówień, prowadzących w rezultacie wszystkie wywody do jednego zasadniczego postulatu.

Niech wolno mi będzie poprzedzić go dwiema ilustracjami. Tym bardziej, że nie będą one tutaj czynnikiem wyłącznie dekoracyjnym, nie będą materiałem anegdotycznym, przytoczonym gwoli uciechu czytelnika, ilustrują one problem barwnie i przekonywująco, zastępują wiele wywodów, zmierzając do celu krótszą drogą. Ilustracjom tym przyjrzeć się trzeba okiem badawczym, bo z równym powodzeniem mogłaby się nimi ucieszyć „Camera obscura”, jak i zasmucić Polonia restituta...

### 2. ILUSTRACJA PIERWSZA: CASUS ZYBAŁA

Pierwsza ilustracja pochodzi z teki zagranicznej, ale — polskiej. Przywykło się u nas mianem emigracji zachodniej obejmować jedynie emigrację londyńską. A jest jeszcze emigracja, którą dla odróżnienia od tamtej, nazwiemy emigracją Bliskiego Zachodu. Tysiące Polaków z Monachium, Hannoveru, Wiednia, Bad-Fischau, Neu - marktu nasłuchuje radiostacji raszyńskiej, czyta dzienniki londyńskie i tęskni. Nie wie. Czeka. Łapczywie chwytą wszystko, co polskie.

Chodzi nam właśnie o to „polskie”. Leży przede mną kilka książek tych, którzy zaspakajają tamtejszy głód polskości. Smutne i bolesne pozycje grafomańskiego kabotyństwa i płyty.

„Marta. Obraz sceniczny w 3 aktach, Historia z życia rodziny alkoholiaka, 1947”. Spłodził tę makabrę ks. kap. (niestety: tak — i ksiądz i kapelan) Malak. Oszczędzę cytaty. Trzy dalsze powieści (wszystkie z r. 1947) machnął od ręki niejaki Roman Orwid - Bulicz. Oto tytuły: „Dolary... dlaczego czyste?” (str. 175), „Moja pierwsza sprawa i jego” (str. 152), „Drugie wydanie powieści” (str. 157). Razem — blisko 500 stron. Nie podając tego obliczenia po to, aby — zyczajem dotychczasowym — wyrachować, ilu „Panów Tadeuszów” mogłoby się na tych kartach pomieścić. Chodzi mi o co innego. 500 stron Bulicza to — oszczędnie sumując — ponad 1500 (słownie: tysiąc pięćset) już nie pomyłek, czy błędów, ale ordynarnych „byków” syntaktyczno - stylistycznych. Oszczędzę cytaty.

Sięgnę po nie do tomu poezji niejakiego Stanisława Zybala. Śliczne wydanie, in quarto. Na kartonowym papierze. Przemięła szata graficzna w opracowaniu Janusza Skolimowskiego. Wydanie monachijskie z 1946 roku. Nakład tygodnika „Słowo Polskie”. Tytuł: „Resztki z kieszeni”.

Oto wiazanka cytaty.

Ze „Wstępu”:

To dla Ciebie, kolego! Chcesz?

[O naszym losie

Mogę jeszcze przypomnieć w

[następnym etapie;

Na krytyków młom zważać? Wojna!

[Mam ich w nosie!

Jeśli zechcesz z kieszeni zawsze

[coś wydrapię.

Nie będę się silił na dowcipy i radeż monachijskiej Zybale, aby z nosa wydrapał i pogadał, a z kieszeni wydrapywać przestał. Nie chodzi o

komentarze w stylu „Poczty Szpilek”, bo to co czytamy, jest smutne. Ale zmusić się trzeba jeszcze do kilku wyjątków.

Oto liryka wojenna. Z wiersza „W szpitalu”:

Często chciał mnie wykończyć Los,

[lecz był zbyt słaby,

Nie był w stanie, choć często

[sprawił dobre lanie;

Kiedy w mury Warszawy wędrowały

[Szwaby

Ja już miałem na sobie cywilne

[ubranie...

W „poezji” tego typu znajdujemy zawsze, jak w lunaparkowym odbiciu krzywego zwierciadła bolesną parodię wszystkich niemal motywów i nastrojów, spotykanych u wielkich twórców. Oto Konradowo - Kaspro-wiczowska nuta buntu religijnego w cyklu liryków religijnych (bo i takie Zybala pisał) zatytułowanym „Boża telepatia”.

Zybala grzmi:

Każesz się Ojcem nazywać,

[o Panie?

Lecz czyś Ty ojcem? Ja myślę

[inaczej!

W moim mniemaniu Tyś ojczymem

[raczej

I ten Ci tytuł zapewne zostanie.

Lecz serce Zybala zmiękło i proponuje

Panu Bogu:

Chyba, że zmienisz Twe postępo-

[wanie...

Aby przejść do liryki miłosnej zacytujmy jeszcze urywek z wiersza „Już czas”, umieszczonego w cyklu patriotycznym.

Dwudziesty wiek! Przyciężką zrzuć

[przybicie,

Przesądów zbrój (!?), co zbyt

[ugięta kości,

Bokerskie wdziej nareszcie

[rękawice

I w mordę bij technicznie, bez

[litości....

Amor tęskniący takim przemawia u Zybala językiem:

I bezpowrotnie tamte stracił

[cud,

Na nic wspomnienia nicem nie

[nanizal,

Szczęśliwszy amant, klepie Twoje

[uda...

E! Szkoda gadać — pies Ci mordę

[lizal!

W pełnym poczuciu swych wartości autor w jednym z wierszy („Nie chcę”) zastrzegł się, aby nikt jego „Pień łabędzi nie odrzynał”, aby się nie popisywano nimi na akademiami, bo — jak skromnie konkluduje „poeta” —

Peret nie rzuca się nigdy przed

wieprze!

Swobodnie mógłbym rozumować przed ciekawym i ciepłym obserwatorem dziesiątki takich „pereł”, ale i tych, którymi musiałem boleśnie rozśmieszyć, wystarczy dla stwierdzenia smutnego zjawiska.

Zybala to problem. *Signum cladis*. Wśród tysięcy Polaków, otoczonych morzem niemczyzny, a łaknących słowa polskiego, polskiej poezji, chleba powszedniego zdrowej, czyste polszczyzny, ten rozdawca spleśniałego zakalca, zatrutej z kasztanów wypieczonej buły kwalifikuje się jako przestępca. Bez przesady i egzaltacji. Obrazu słowna wolnego obywatela pociąga za sobą konsekwencje prawne. Czemu wolno obrażać w tak brutalny i chamski sposób wolną sztukę? Okaleczenie wolnego obywatela grozi sankcjami karnymi. Czemu wolno tak potwornie kaleczyć język? Zatrucie sąsiadów np. czadem jest zbrodnią. Dlaczego nie uważa się za zbrodnię zacządzanie setek młodych głów takim „zybaleniem”?

Albo:

Z czasem historia opisz,

Co dziś rzadko kto z nas słyszy,

Jak Polacy „bimber” pili,

Gdy „niemiaszków” w lasach bili.

Tyle powinno wystarczyć. Amatorzy barwniejszych jeszcze ilustracji najdą je w okazałej ilości na szpal-tach każdego niemal zeszytu, jeśli ominą utwory nieśmiertelnych „współpracowników”. Ilustrację wyjętą z teki „C. T. P.” pozostawiamy bez komentarzy,

Rezygnując ze zbytecznych komentarzy warto przytoczyć tu urywek

wywodów konspiracyjnej się ściśle „redakcji”, która w numerze jubileuszowym gromkim artykułem „Od-

powiadamy” usiłuje wykazać bezpod-

stawność uporczywych ataków prasy

nato — jak sama się określa — „je-

rzyjmy się drugiej ilustracji, tym razem już z teki krajowej.

Oto ukazał się pięćdziesiąty, jubileuszowy numer „Co tydzień po-

wieść” (C. T. P.). Oślawione to wy-

dawnictwo ma bardzo szeroki wach-

larz współpracowników. Od Awer-

cenki, Balzaca, Chestertona, Dickensa,

de Maupassanta i Wilde'a po Bogusławskiego,

Gzowskiego, Lekszyckiego, Matwiejczuka i Zydlera. Inter-

esują nas bardziej pisarze z tej drugiej

grupy. Współpraca ich — jak in-

formuje numer jubileuszowy — po-

lega „na drukowaniu przystępnych,

napisanych czystym, zdrowym języ-

kiem opowiadań...”

Oddajmy głos cytatom. Niech zablysznie ów „czysty, zdrowy język”. Leży przede mną 48 zeszytu „C. T. P.” W nim opowiadanie Junoszy - Gzowskiego pt. „Partyzant Wisłocki”.

Dowiadujemy się, że bohater opowieści, znany adwokat i — bokser, pokonał „patrol złożoną z 2 Niemców”, a po „udalej” wyprawie „zawrócił z powrotem” do swego oddziału, który „przekraczał czterdziestu osób”. Dalej dowiadujemy się, że Wisłocki jest także znanym pisarzem. Utwory swoje drukował chyba w „C. T. P.” Wskazuje na to język, jakim pan porucznik przemawia do podwładnych. „To major Szczygieł uderza ich z tyłu. Chłopcy nazad!”

Całość — wstrząsająca. Przytoczmy chociaż podane w zakończeniu kazanie pogrzebowe kapelana. (Bardzo oryginalna sylwetka: „z rana odprawił Mszę połową i doręczył oddziałowi trzy litry „bimbru”.) Oto stenogram:

„Zołnierze! Chłopcy! Bracia kochani! Dużo naszych padło, ale zwycięstwo nasze jest całkowite. Wróg, jak wiecie, został zmasakrowany, zdziesiątkowany, zdeptyany, rozbity. Pocho-wajmy teraz kolegów naszych. Wszyscy niech spoczną w jednym, wspólnym grobie...”

— A co zrobimy ze zwłokami Dzieka? (tak się wabił bohaterki pies Wisłockiego) On też zabity — spytał, chlapiąc, młodociany Władek.

Autor uznaje słuszność tej interpelacji i kończy całość elegijnym dystychem:

Położmy go u nóg jego pana.

I ja tak myślę, bo on bardzo kochał pana kapitana.

Ten dystych nie jest jedynym objawem skłonności poetyckich autora wstrząsającej opowieści o partyzancie Wisłockim. Oto próbki poezji chłopców lasu w jego opracowaniu:

Łój, nasz kapitan odważny,

Spotkał kiedyś Niemców pięć,

Kiwnął głową im poważnie,

Zaswierzbiała jego pięść.

On w Mnichowie tłucze Niemców,

Ich w Barszczowie bije też,

On w Pyrkowie nas dozbraja

I przysparza Niemcom łez.

Albo:

Z czasem historia opisz,

Co dziś rzadko kto z nas słyszy,

Jak Polacy „bimber” pili,

Gdy „niemiaszków” w lasach bili.

Tyle powinno wystarczyć. Amatorzy barwniejszych jeszcze ilustracji najdą je w okazałej ilości na szpal-tach każdego niemal zeszytu, jeśli ominą utwory nieśmiertelnych „współpracowników”. Ilustrację wyjętą z teki „C. T. P.” pozostawiamy bez komentarzy,

Rezygnując ze zbytecznych komen-

tarzy warto przytoczyć tu urywek

wywodów konspiracyjnej się ściśle „redakcji”, która w numerze jubileuszowym gromkim artykułem „Od-

powiadamy” usiłuje wykazać bezpod-

stawność uporczywych ataków prasy

nato — jak sama się określa — „je-

rzyjmy się drugiej ilustracji, tym razem już z teki krajowej.

Oto ukazał się pięćdziesiąty, jubileuszowy numer „Co tydzień po-

wieść” (C. T. P.). Oślawione to wy-

dawnictwo ma bardzo szeroki wach-

larz współpracowników. Od Awer-

cenki, Balzaca, Chestertona, Dickensa,

de Maupassanta i Wilde'a po Bogusławskiego,

Gzowskiego, Lekszyckiego, Matwiejczuka i Zydlera. Inter-

esują nas bardziej pisarze z tej drugiej

grupy. Współpraca ich — jak in-

formuje numer jubileuszowy — po-

lega „na drukowaniu przystępnych,

napisanych czystym, zdrowym języ-

kiem opowiadań...”

Oddajmy głos cytatom. Niech zablysznie ów „czysty, zdrowy język”. Leży przede mną 48 zeszytu „C. T. P.” W nim opowiadanie Junoszy - Gzowskiego pt. „Partyzant Wisłocki”.

Dowiadujemy się, że bohater opowieści, znany adwokat i — bokser, pokonał „patrol złożoną z 2 Niemców”, a po „udalej” wyprawie „zawrócił z powrotem” do swego oddziału, który „przekraczał czterdziestu osób”. Dalej dowiadujemy się, że Wisłocki jest także znanym pisarzem. Utwory swoje drukował chyba w „C. T. P.” Wskazuje na to język, jakim pan porucznik przemawia do podwładnych. „To major Szczygieł uderza ich z tyłu. Chłopcy nazad!”

Całość — wstrząsająca. Przytoczmy chociaż podane w zakończeniu kazanie pogrzebowe kapelana. (Bardzo oryginalna sylwetka: „z rana odprawił Mszę połową i doręczył oddziałowi trzy litry „bimbru”.) Oto stenogram:

„Zołnierze! Chłopcy! Bracia kochani! Dużo naszych padło, ale zwycięstwo nasze jest całkowite. Wróg, jak wiecie, został zmasakrowany, zdziesiątkowany, zdeptyany, rozbity. Pocho-wajmy teraz kolegów naszych. Wszyscy niech spoczną w jednym, wspólnym grobie...”

— A co zrobimy ze zwłokami Dzieka? (tak się wabił bohaterki pies Wisłockiego) On też zabity — spytał, chlapiąc, młodociany Władek.

Autor uznaje słuszność tej interpelacji i kończy całość elegijnym dystychem:

Położmy go u nóg jego pana.

I ja tak myślę, bo on bardzo kochał pana kapitana.

Ten dystych nie jest jedynym objawem skłonności poetyckich autora wstrząsającej opowieści o partyzancie Wisłockim. Oto próbki poezji chłopców lasu w jego opracowaniu:

Łój, nasz kapitan odważny,

Spotkał kiedyś Niemców pięć,

Kiwnął głową im poważnie,

Zaswierzbiała jego pięść.

On w Mnichowie tłucze Niemców,

Ich w Barszczowie bije też,

On w Pyrkowie nas dozbraja

I przysparza Niemcom łez.

Albo:

Z czasem historia opisz,

Co dziś rzadko kto z nas słyszy,

Jak Polacy „bimber” pili,

Gdy „niemiaszków” w lasach bili.

dyne w swoim rodzaju wydawnictwo w Polsce”. Czytamy tam:

„Kiedy cierpiąc na brak dobrego materiału beletrystycznego, musieliśmy drukować rzeczy słabe, o miernej wartości literackiej, wtedy wra-stał nakład i podnosiły się protesty prasy. Kiedy zaczęliśmy drukować utwory wartościowe — wtedy spadał nakład i rzecz zastanawiająca — prasa nie ustawała w protestach z maniakalnym uporem utrudniając nam pracę. Postanowiliśmy znaleźć „złoty środek”. Polegać miał on na drukowaniu przystępnych, napisanych czystym, zdrowym językiem opowiadań, w których tempo akcji i żywość dialogów trzymałaby czytelnika w napięciu”.

Jedno z takich „przystępnych” opowiadań służyło nam wyżej za ilustrację. Opowiadania tego typu mają być owym „złotym środkiem”.

Mamy tu okazję do wglądu w zawiły mechanizm przyczyn i skutków klęski społecznej jaką jest grafomania. Masy nie chcą czytać do-brych, skłaniających do najmniejszego chociażby udziału myślowego utworów. Masy łakną taniej, niezdrowej, niechlujnie podanej sensacji.

Kto winien?

Ten winien, kto przyzwyczaił je do kiepszczyzny, do „taniocy” patosu i „darmochy” intelektualnej, do głupawych efektów i barbarzyńskich dowcipów, do kultywacji mordobicia i traskania z browningów, do chorobliwego negliżowania tematyki erotycznej. Ten winien, kto w ordynarnej i zachwaszczonej polszczyźnie wyrażał treści najpłyttsze, najpustsze, najbanalniejsze, a przez to tak „przystępne”. To autorzy przedwojennych szmir „Krystyn”, „Sekretarek osobistych dr Borzeckiego”, „Lordów Listérów” i „Buffalo Billów”, to kontynuatorzy ich podłej bazgraniny, zatrważającej atmosferę literacką i kulturalną. Masy obalamucone sensacyjną tandetą, grafomańską płycozną i niechlujstwem mogły zatracić i zatracają odcucie tego, co piękne i wartościowe.

„Musieliśmy drukować rzeczy słabe, o miernej wartości literackiej...”

Fałsz! Nikt nigdy nie musiał. Przeciwnie Nikt nigdy nie powinien. Choćby nie było ani jednej pozycji godnej drukowania. Przecież gdy brak wody to nie dowód, że trzeba pić truciznę. Szuka się źródeł i zawsze się je znajduje.

Tylko interes i to brudny interes kasowy może nakazywać druk miernoty, publikację grafomańskich wycieczek. Dewastacja smaku, barbaryzacja gustów literackich, ogłupianie i otepianie wrażliwości estetycznej mas to za wysoka cena, aby kupować za nią egoistyczne zadowolenia miłości własnej („drukowali mnie!”) lub lepszy materialnie byt („jakoś człowiek musi sobie radzić”).

Lepiej setki tysięcy bel czystego papieru przed zabrudzeniem ich grzechami grafomanstwa, niż zawałać tą trującą makulaturą drogą i utrudniać i tak mozolną wspinaczkę ku właściwemu poziomowi życia kulturalnego mas.

## 4. POSTULAT KONCOWY: PRZECIWDZIAŁAĆ!

Ostudziwszy gorączkę oburzenia i bolesnego gniewu, jaką wywołać musiała przytoczone ilustracje, trzeba zsumować wnioski i uwagi, mające złożyć się na jeden zasadniczy postulat końcowy.

Przed wojną zapłotkowy „Mercury Ordynaryjny” ogłosił zgryźliwy artykuł o dywersantach poezji polskiej. Zaatakował tam — w imię zaściankowości — prawdziwe i rzetelne talenty. Dzisiaj dywersantami literatury polskiej należy nazwać tych, wszystkich Zybaliów zagranicznych i

krajowych, którzy — prawdopodobnie nie zdając sobie z tego sprawy — prowadzą na tyłach naszego frontu kulturalnego obrzydliwą kreację dywersancką robotę Polega ona nie tylko na psuciu papieru — ale i smaku artystycznego, wrażliwości kulturalnej, na psuciu młodych serc i głów. Szmiry zeszytowe, gazetowe szmoncesy dziesiątków Sewerynów z różnych „Expresiaków” urastają w książki. Choroba grafomanii zaraża nawet kulturalnych i inteligentnych ludzi, aby wskazać na smutny przykład Stefańskiego i Sojeckiego z ich

zarażoną bakcyliem „zybalizmu” książczyną. („Sciary mają uszy”).

Dlatego nie wystarczy o tej klęsce pisać, nie wystarczy załamywać nad nią ręk.

Potrzeba jest aż nadto wyraźna. Przeciw dywersantom własnej pracy. Ogrodnik, któremu jakiś drań rozkopuje grządki i niszczy sadzonki, ma prawo złapać drania za kark i posłać go za kratki, a już w najgorszym wypadku zmusić do zanicchania nieocnego proceduru. Czemu nie ma tych praw literat, publicyści, dziennikarz? Czemu się o te prawa nie upomina?

Rady Miejskie, dbające o zdrowie swoich obywateli wysyłają na miasto lotne komisje, które sprawdzają ceny produktów, wykrywają wodę w mleku, mąkę w śmietanie koninę w wieprzowej kiebasie. Falszerze i oszuści wędrują do więzienia. Bo żołdaków ludzkich nie można, bezkarnie niszczyć. Czemu nie unieszkodliwia się falszerzy języka, oszustów szmuglujących i karmiących masę zjeżdżała pseudo - literaturą. Czyżby duszę ludzką i ludzkie serce można niszczyć bezkarnie?

Takie przykłady i bolesne paralele

dałoby się mnożyć w nieskończoność. Ale nie o to chodzi. Chodzi o zdecydowane, ujęte w społeczno - organizacyjne formy wystąpienie przeciw jednej z najpospolitszych plag życia literackiego, a tym samym kultury polskiej. Bo jeśli cała kampania skończy się na dźwiękach i frazesach, będzie to smutnym stwierdzeniem, że sprawy bardzo istotne zaczyna się u nas degradować do roli wyświechtanych frazesów.

Dalekie są te słowa od bicia na alarm, od historycznego walenia w dzwon apokaliptycznej trwogi. Zbyt

nie pobłażliwość wobec zasygnalizowanego niebezpieczeństwa może jednak stworzyć sytuację, w której nieświadomieni dziś dywersanci literatury polskiej zewrzeć się będą mogli w koncentrycznym ruchu oporu, mając potężne zaplecze w ogłupionej, leniwej, zepsutej kulturalnie do szczytu masie czytelników.

Dlatego trzeba wystąpić do ostrej walki z tą grafomańską dywersją. W imię i dla dobra literatury i mas.

Zygmunt Lichniak.

Wanda Kieszkowska

## Ulubieniec sceny warszawskiej przed stu kilkudziesięciu lat

Każdy ktokolwiek pisał, lub pisać będzie w przyszłości o artystycznym, literackim i towarzyskim życiu Warszawy w latach między 1800 — 1820 musi zawsze wspomnieć imię Alojzego Żółkowskiego, on sam zaś wraz ze swym nieodłącznym famulusem Nowickim należał do najpopularniejszych, najbardziej znanych, lubianych i cenionych postaci tego okresu.

A w tych czasach świeżej żałoby po utracie wolności i odradzających się wciąż nadziei, w czasach zamętu i walki, gdy cały naród oczy miał utkwione w wojsku, z jego orężem złączony najściślej wiarę w odzyskanie niepodległości. Bohaterów narodowych otoczono ciałą bałwochwalczą niemal, zadziwić niejednego może sława i znaczenie, jakich zażywał człowiek dość niskiej według ówczesnych pojęć „kondukcji”, artysta, „komediant”, który oprócz kompanii 1794 r. odbytej w baro młodzieńczym wieku nigdy się więcej rękopięsłem żołnierskim nie parał i chyba już tylko ze sceny ku niewymownej ucieśce widzów, wywijął szabelką.

Z pochodzenia i urodzenia był zresztą imię pan Alojzy Fortunat Gonzaga Żółkowski, herbu Jastrzębiec, dobrym szlachcicem i familiantem. Rodzice osiedli gdzieś w zapadłym kącie w nowogrodzieźnie na wsi, rodzinny stryj był generałem. Nauki pobierał pan Alojzy w słynnym liceum krzemienieckim. Skąd też prosto niemal z ławy szkolnej zaciągnął się w szeregi powstania kościuszkowskiego, po upadku którego lat dwadzieścia licząc niespełna, został z woli stryja i jedyne opiekuna po śmierci rodziców kancelistą adwokackim we Lwowie. Młody, rozgadany, rozpięwany Żółkowski już wtedy mający zawsze jakiś wesoły żarcik w zanadrzu, a modny kupczyk na ustach, niezbyt się tam zapewne przykładał do „skrobienia piórkiem”, niemniej przeto droga jego życia wydawała się ustalona i to wcale korzystnie nawet. Ale... człek strzeła a Pan Bóg kule nosi, jak mawiali nasi przodkowie na określenie niepewności losu.

Decydującym momentem dla przyszłości młodego Żółkowskiego był przyjazd i kilkuletni pobyt we Lwowie trupy teatru Bogusławskiego, rozproszonej po rozbiórce Polski. Jeśli zawierzyć współczesnym świadectwom, Żółkowski nie opuścił ani jednego przedstawienia i podczas tych długich wieczorów, gdy siedział ze wzrokiem utkwionym w scenę, rosło i utrzymywało się w nim zapewne niezłomne postanowienie, które doprowadziło go wreszcie do tego, że mając dość kariery kancelisty, postanowił z nią zerwać i poświęcić się niepodzielnie zawodowi aktorskiemu. Żywiąc wszakże uzasadnione obawy, że stryj generał odmówi zgody i błogosławieństwa, na tę nową, a niegodną ziemianńskiego syna drogę, życia, pokryjomu spakował swój kuferek i rezygnując z pomocy i pomocy krewniaka, „per pe-

des apostolorum” puścił się do stolicy. W Warszawie wielka artystka, żona dawniejszego dyrektora teatru Truskolaska, prowadząca po śmierci męża teatr w pałacu Radziwiłłowskim, poznała się szczęśliwie od razu na zapalonym „kochanku Melpomeny”, bo już w parę miesięcy po przyjeździe widzimy go na scenie. Pierwszy raz wystąpił Żółkowski w operze Stefana „Wdzięczni poddani”, zdobywając sobie szturmem całą publiczność i już przez dwadzieścia parę lat święcił nieprzerwane tryumfy.

Piszącym o sukcesach scenicznych Żółkowskiego i sławiącym jego niepospolite zdolności, trudno jest właściwie określić na czym polegała istota jego talentu, co sprawiało, że każde drgnienie twarzy i spojrzenie wydawało się widzom źródłem niewyczerpanego dowcipu i komizmu, pobudzając wszystkich do niepoohamowanego śmiechu. A choć był właściwie samonikim, prosto od biurka kancelisty przeszedłszy na scenę, wszyscy zgadzają się jednogłośnie między sobą, że jeśli syn jego również Alojzy i również znakomity artysta przewyższał go sztuką to nie dorównywał mu wrodzonym, naturalnym komizmem. Nawet złą rolę i kiepską sztukę umiał tak podnieść i ożywić, żeśrodkowując uwagę wszystkich na sobie, że widzowie patrząc na niego, zapominali zupełnie o płaskich dowcipach i mniej zręcznej akcji, bawiąc się serdecznie samym jego widokiem. Wystarczyło poprosić nazwisko Żółkowskiego na afiszu, by zapewnił sztuce powodzenie i wypełnił teatr po brzegi. Dlatego też autor, który zdołał pozyskać do objęcia roli w swej sztuce Żółkowskiego, mógł być zupełnie spokojny o jej los, gdyż powodzenie jej utrzymywało się samo przez się.

A były to czasy znacznie większej swobody scenicznej i bez porównania bliższego, bardziej bezpośredniego kontaktu z widownią. Publiczność umiała wprawdzie wygwizdać nie lubianego artystę, zerwać przedstawienie, lub nawet zasadzkę na niego z kijami urządzić, (jak to opisuje aktor Ski-biński w swych pamiętnikach), ale też kto już raz zaskarbił sobie jej łaskę i względy, ten mógł zawsze liczyć na jej poparcie i pomoc. A Żółkowski był najpierwszym spośród jej ulubieńców, chociaż za jego czasów teatr polski poczynał się już dźwigać z upadku, w jaki go rozbiory wtrąciły, zyskując pierwszorzędne siły w osobach świetnej tragiczki Ledóchowskiej, córki słynnej niegdyś Truskolaskiej, dla ujrzenia której na scenie, miało się zjeżdżać pono wielu cudzoziemców do Warszawy, stając w podziwieniu nad jej grą jasną i wymowną nawet bez słów, (niezrównana zwłaszcza miała być w tragediach klasycznych, a już lady Maebeth była jej szczytową kreacją), dalej Kudlicz, Dmuszewski, Werowski, komik - karykaturzysta Zdanowicz itd. Dyrektorem był sędziwy „Nestor sceny polskiej” — Wojciech Bogusławski, który później

zdał ten urząd na zięcia swego Ludwika Osieńskiego, znanego i cenionego w swoim czasie poety i profesora literatury. Sądząc po rozsypanych po różnych pamiętnikach okrucinach wspomnień wnosić możemy, że Żółkowski brał publiczność tą właśnie swoją niewymuszoną swobodą, z jaką się obracał na deskach teatralnych, bezpośredniością i samorodnym, swoistym dowcipem. A że jak się rzekło, prawa autorskie nie były w owych czasach tak pilnie i surowo strzeżone, co dziś, więc też i rolę swoją urozmaicał on bez skrępowania na poczekaniu zrodzonymi improwizowanymi dowcipami i kupletami, które największym bodaj że „wszystkiego” cieszyły się powodzeniem, „wywracając od śmiechu całą publiczność”. Nie więc dziwnego że „od wejścia jego na scenę rozpoczynał się w teatrze śmiech ogólny, który do homeryckich rozmiarów dochodził”. Książę Józef, sztab je-

go, ministrowie, senatorowie, wielkie panie za boki się trzymali w swoich łożach”, a... po każdym przedstawieniu tłum cisnął się do garderoby artysty, chcąc go koniecznie z bliska ujrzeć, zaprosić, spędzić z nim wieczór. Bo jeśli są ludzie, co przyciągają innych ku sobie jak magnes, to nasz pan Alojzy do nich się właśnie zaliczał. Co wyrwał się jaki szlachcic z zapadłej wsi do stolicy, pędził od razu co tchu do teatru, a potem zachwycony jego grą oblegał garderobę niezrównanego artysty. Bo i jakże to? Być w Warszawie i Żółkowskiego nie widzieć?! I nawet paru słów z nim nie zamienić?!

Tym swoim kupletem też przeważnie, zwłaszcza zaś patriotycznym, które na poczekaniu układał, zawdzięczał też bliższą znajomość ze słynnym za czasów Królestwa Kongresowego odwachem pod „Białym Orłem”, gdzie niejedną godzinę przepędził, co

przyczyniało się zresztą znakomicie do zwiększenia jeszcze bardziej jego popularności i wziętości w społeczeństwie. On zaś nie przejmując się tym wcale, sypał po dawnemu dowcipami, jak z rogu obfitości rad, jeśli pod gładkim żartem zdołał przemycić część gorzkiej prawdy, albo cierpkiej satyry, którą nazajutrz powtarzała za nim cała Warszawa. Bo patriotą był pan Alojzy garącym. Warszawa długo zapewne zachowała w pamięci tę wzmąszą chwilę, gdy po nieudanej wypprawie 1812 r. i powrocie dziesiątkowanych wojsk do stolicy, Żółkowski wyszedłszy na scenę po raz pierwszy chyba od wielu lat, nie powitał publiczności zwykłym dowcipem, ani nie myślał nawet o podjęciu swej roli, lecz stanąwszy przed zasłoniętą łożą, kłaniał się w jej stronę tak długo i uporczywie, aż wreszcie uchyliło się okno i oczom zastygłej ze zdumienia publiczności ukazał się książę Ponia-

## Tydzień kulturalny

### NIEOCZEKIWANA DECYZJA

JAK doniosły pisma emigranckie, i tzw. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie wydał odezwę, w której stwierdza, że członkowie Związku, ustosunkowując się negatywnie do wszystkiego, co się dzieje w Polsce i będąc z istniejącą w Polsce rzeczywistością w walce, postanawiają nie drukować swych utworów tak nowych jak i dawniejszych w kraju. Odezwę podpisał szereg osób. Są tam nazwiska nie mające nic wspólnego z literaturą czy publicystyką polską jak np. Mariana Hemara. Są jednak, niestety, także nazwiska ludzi utalentowanych i zasłużonych dla literatury jak I. Balińskiego, W. Grubińskiego, B. Obertyńskiej, J. Olechowskiego, K. Wierzyńskiego. Są publicyści polityczni jak Stroński, Nowakowski, Studnicki, autor „Ziemia gromadzi prochy” J. Kisielewski...

Po ogłoszeniu odezwę należy sądzić, że wymienieni wyżej pisarze przestaną w ogóle pisać po polsku, przejdą wyłącznie na używanie języków obcych. Literatura bowiem i publicystyka nie tworzy się „autorem a muzem”, ale ma służyć czytelnikom. Ci zaś nie mieszkają między Loch Ness a Tamizą, ale między Bugiem a Odrą. Faktu tego nie zmienią żadna deklaracja żadnego Związku. Ojczyzna nie jest ani „ibi bene”, ani tam, gdzie słusznie czy niesłusznie, szuka się klucza do rozwiązań konfliktów politycznych. Ojczyzna jest tam gdzie żyje, trwa i pracuje naród.

Gdybyśmy nawet założyli że w Polsce jest tak, jak mniema że jest, Związek Pisarzy — to i tak, zdawaćby się mogło, pisarzy polskich obowiązuje praca dla Polaków. Jedynym sensem pracy polskiego pisa-

rza jest pisanie dla swoich. Był czas, że na emigracji powstawały dzieła, które potem docierały do kraju, wzmacniały ducha, podnosiły odporność narodu. Dziś wierszyk napisany na emigracji, jakiś artykuł, przedrukowuje się tylko jako oryginalność, jako ciekawostkę — jako dowód, że gdzieś przecież także piszą i myślą Polacy. Literatura na emigracji nie stworzyła nic, czymby się mógł kraj karmić. Jedyną poważniejszą pozycją siedmiu lat nieobecności są „Srebrne Orły” T. Parnickiego.

Dlatego też decyzja Związku Pisarzy, nielogiczna w swym założeniu, zaszkodzić może tylko tym, którzy oświadczenie podpisali.

### NOWE POWIĘŚCI

W JEDNYM z najbliższych numerów kończymy druk „Przemarsz przez piekło” St. Podlewskiego. Jako następną rzecz mieliśmy drukować „Srebrne Orły” Parnickiego, jednak wobec faktu, że autor odmówił nam zgody na tę publikację, następnym odcinkiem powieściowym naszego pisma będzie nowa powieść Stefana Kisielewskiego pt. „Zbrodnia w Dzielnicy Północnej”. Powieść jest próbą romanu kryminalnego i dedykowana została Czesławowi Miłoszowi, który „namówił” Kisielewskiego na napisanie utworu tego typu.

J. Dobraczyński od dłuższego czasu pracuje nad powieścią pt. „Wybrańcy gwiazd” (Esagila i Syjon). Jest to powieść historyczna z epoki Nabuchodonozora i ma stanowić pierwszą część trylogii. Treścią jej jest upadek państwa judejskiego.

### „PROLUZU”

Mimo pozornej ciszy, spowodowanej nieukazywaniem się komunikatów

„Proлізу” w prasie w okresie ostatnich miesięcy, praca Centrali Akademickiego Związku Przyjaciół Łużyckich „Proлізу” nie uległa bynajmniej osłabieniu. Przeciwnie, akcja prołużycka po przezwycięzeniu wielu przeszkód i wzmocnieniu podstaw ideologicznych i organizacyjnych, rozszerza się systematycznie na całą Polskę, spotykając się wszędzie z entuzjastycznym przyjęciem, zrozumieniem oraz poparciem młodzieży i społeczeństwa.

Prawie niepostrzeżenie minął pobyt w Polsce prezesa Łużyckiego Towarzystwa Przyjaciół Polski, dra Arnošta Czernika, który przybył z rewizytą w odpowiedzi na oficjalną wizytę prezesa naczelnego „Proлізу” na Łużycach w lutym br. Prezes dr Czernik został owacyjnie przyjęty przez młodzież poznańską i przemawiał na pięknym Poranku Łużyckim urządzonym przez Koło Szkolne „Proлізу” przy Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Kludyny Potockiej w Poznaniu. Następnie prezes dr Czernik udał się wraz z delegatem Centrali „Proлізу” do Warszawy.

Konkretną pomoc sprawie Łużyckiej pokazuje społeczeństwo wielkopolskie, zorganizowane w Koła Sympatyków „Proлізу” z prezesem Walerym Chrzanowskim w Poznaniu, prezesem Antonim Świerkowskim w Jarocinie i prezesem inż. Stanisławem Kossaczewskim w Krotoszynie. Do Jarocina staraniem tamtejszego Koła Sympatyków „Proлізу” — przybyło 35 dzieci łużyckich na miesięczne kolonie letnie. Centrala „Proлізу” stworzyła szereg Komisji Doradczych, w których najwybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa poznańskiego pomagają młodzieży akademickiej swą wiedzą, doświadczeniem i autorytetem.

Wiesław Strzałkowski

## Modlitwa N. Marii Panny

Tęczowe skrzydła nocy zagarniają w swoje głębie  
Pałą się światła różowe — fruwać białe gołębie...

Kolumny jasne z jaspisu podnoszą się nad otchłanie,  
Aleją czarnych cyprysów płomienny przechadza się Anioł.

I rzeki miodem płynące nad ziemią na nowo płyną,  
Które jak przedzę jedwabiu rozsnuwa dłoń serafinów.

Jakby z podziemi gdzieś grają chórów Anielskich grania,  
przesztrzeń i czas zanikają w wielkiej godzinie świtania.

I ręce Swoje strzeliste ponad kopułę nieb wzbija  
I serce Swoje Przczyste przed Panem kładzie Maryja.

Najpokorniejsza z pokornych włosami zmiata złotemi  
Tron Tronów Pana najwyższy, o pokój prosząc dla ziemi.

towski, ukochany, lekkomyślny, bohaterki księżki Warszawy, teraz zmieniając do niepoznania, błady i chory.

Falkowski w swych „Obrazach z kilku ostatnich pokoleń”, nazywa Żółtkowskiego królem farsy polskiej, twierdząc, że już nawet wszelkie poważniejsze i głębsze komedie mimo woli przemieniały na farsy. Z drugiej wszakże strony wiemy, że choć istotnie w krótkich jednoaktówkach największe święci tryumfy, to jednak występował i w poważniejszych sztukach i to podobno z wcale znaczącym sukcesem, choć Falkowski zdaje się być wręcz przeciwnego zdania. Faktem jest zresztą, że szczupłość sił aktorskich sprawiała, że często artystami dramatycznymi musiano łączyć obsadę opery, urodzonych komików brano na bohaterów dramatów i tragedii i odwrotnie, co miało najczęściej ten skutek, (jak to nie bez słuszności stwierdza Falkowski), że świetny tragik był bardzo złym tenorem, a pełen wyrazu komik wychodził znowu blade w rolach dramatycznych.

W owych czasach zresztą, o których tu mowa, zimne „podniosłe” tragedie klasyczne i „drammy” nie cieszyły się wogóle żadnym powodzeniem, i po paru razach musiały schodzić z afisza, podczas gdy farsy i komedie, zwłaszcza zaś farsy i komedie z Żółtkowskim, jak np. „Chłop za pana”, „Rochus Pumpernikiel”, „Pan Kmiłek z Pipiszek”, „Gaweł na dachu” itd. szły nieraz bardzo długo przy zapelnionej zawsze widowni.

Znany jest epigramat, krążący po Warszawie, z okazji wystawienia wielkim nakładem staran i trudów Horacjuszów Cornelle'a, w tłumaczeniu Ludwika Osieńskiego. Publiczność żywo oklaskiwała artystów, nosiła na rękach tłumacza, ale... nazajutrz teatr świecił pustką. Ci sami ludzie, którzy po kilka razy z rzędu słuchali z nieślabnącym zainteresowaniem jednej i tej samej farsy, — mieli Horacjuszów dość po jednym przedstawieniu. I to właśnie nastawienie ówczesnej publiczności oddaje świetnie następujący złośliwy, lecz trafny czterowieisz.

„Jakże podniosła sztuka, jak wielki Horacy,  
Z uniesieniem, ze łzami, wołali  
Polacy.  
Dziwili się zdaniu i uczniom myśli,  
Kłaskali, ale jednak drugi raz nie przyszli!”

Obok wszakże Żółtkowskiego, wielkiego artysty, niezrównanego komika, istniał również Żółtkowski literat i Żółtkowski dziennikarz, jakbyśmy dziś powiedzieli.

A spuścizna jego literacka jest wcale znaczna i pokaźna. Pozostawił po sobie około osiemdziesięciu utworów scenicznych, z których większość należy wyprawić do tłumaczeń lub wolnych przeróbek, lecz między którymi nie brak też i prac oryginalnych, jak np. libretto do opery „Szarlatan, czyli wkrzeszenie umarłych”, do której muzykę ułożył Kurpiński, lub komedie jak „Świątynia nudów”, „Asmodeusz” itd. Dziś te sceniczne płody Żółtkowskiego pozostają już oczywiście w zapomnieniu i bardzo nieliczne z nich

tylko doczekały się ogłoszenia drukiem, choć w swoim czasie były grane dość często i ze znacznym powodzeniem. Nie był zresztą Żółtkowski jedynym artystą zasilaającym teatr plodami swojej twórczości. W owych czasach było to zjawisko często spotykane i raczej powszechne. Poprzedził go już chlubnie na tym polu dyrektor teatru Bogusławski, który zyszył mu dzielnie Dmuszewski itd.

Sławę swą jako pisarz zawdzięczał Żółtkowski Innemu zupełnie rodzaju twórczości, a mianowicie skromnej, zrazu nawet tylko pisanej gazetce, którą po kilku latach zamienił na periodyczne, drukowane piśmko, wychodzące pod nazwą „Momus”, (bóg szyderstwa) i „Pot-pourri”, przyłączone później jako dodatek do pisma „Wanda”, redagowanego przez Brunona Kiecińskiego, zasłużonego tłumacza Owidiusza. Wydawanie swej gazetki rozpoczął Żółtkowski w 1811 r. kiedy Warszawa po upadku powaźnego, o naukowym zacięciu „Pamiętnika warszawskiego” nie miała oprócz „Gazety warszawskiej” żadnych innych periodyków i żywą gazetą, roznoszącą w lot wszystkie wiadomości polityczne był stary Gugenmus, „horloger du roi” jedna z ciekawszych osobowości starej Warszawy. Publiczność pochwyliła z zapałem satyryczno-humorystyczne piśmko Żółtkowskiego, którego samo imię wystarczało do ich rozpowszechnienia. Gazeta jego, ów słynny „Momus”, składający się z bajek, fraszek, facecji, przysłówków, kalamburów, nieznanych dotąd wcale językowi polskiemu, ucieśnej gry wyrazów, szarad, zagadek itd. docierał do najdalszych zakątków kraju, wszędzie oczekiwany rozrywany z ręk do ręk przechodzący. Bo też i było na co czekać! Z niezwykłą bystrością, niezrównanym zmysłem spostrzegawczym i satyrycznym, podchwytuje w nich Żółtkowski wszelkie ważniejsze wydarzenia polityczne, społeczne i towarzyskie, „nicując” je bez pardonu na ucieśną i zabawną stronę. Nie przepuści nikomu, a tak zresztą to opisze, że choć nie wymieni żadnego nazwiska, każdy pozna od razu, kogo miał na myśli, pod żartobliwą, lekką i niefrasobliwą formą, przemycając nieraz gorzkie jak piołun, a jak ogień palące i bolesne prawdy. Piśmko Żółtkowskiego to świetny dokument do poznania strony obyczajowo-moralnej, towarzyskiej i politycznej tych czasów, odbijają się w nich, jak w zwierciadle wszystkie bolączki i niedomagania, wszystkie wady i przywary społeczne.

Tak więc z pewnym zdziwieniem dowiadujemy się np. że tak wielka kłeska i bolączka dzisiejszych czasów, jak ograniczenie liczby urodzin, musiała się już wtedy pojawiać na horyzoncie modnego towarzystwa, skoro Żółtkowski z ironicznym uznaniem podnosi fakt, że kury nie są elegantkami, gdyż inaczej trzeba by się zapewne zupełnie wyrzec kurcząt itd.

Inne znów facecje i fraszki tak ostro piętnują, wyszydają i osiuniaszają modne podówczas wady i bolączki, że mimo woli nasuwa się porówna-

nie z Satyrami Krasickiego, pozwalając przyjąć za dewizę następujący dwuwiersz, drukowany również w „Momusie”.

„Nie każdy prawdę lubi, więc lepiej pleść bajki,  
Za prawdę się gniewają, bajów nikt nie łąje”.

Pod tą tedy wygodną przykrywką, pewny swej bezkarności, wytyka bez ogródek łapownictwo, — (Dawniej były głowy do pozłoty, teraz ręce wystawiają), panoszenie się niepewnych i podejrzanym osobistości, — (Człowiek z suknią wytartą daleko nie zajdzie, a człowiek z wytartym czołem prawie wszędzie), wyśmiewa cenzurę Królestwa Kongresowego — (Niekiedy czynią sobie zapytania, czy też i w muzyce będzie cenzura wymazywać zbyt wolne tony, tak jak zbyt wolne wyrazy wykreśla), wymawia poniżenie enoty, — (Cnota to musi być niezmiernie stara dama, bo wszyscy ją poważają, a nikt jej nie chce), inne znowu „facecje” określają dowcipnie młodość jako przedmowę do książki, która czasem zupełnie co innego zawiera, „niż to obiecywała przedmowa” itd. itd. Działający czytelnik, któremu wpadną w ręce podobne kartki starego „Momusa”, wielu dowcipów, odzwierciadlających „dniowe”, dawno przebrzmiałe wydarzenia, nie zrozumie już wcale, inne wydadzą mu się już znacznie mniej zabawne, niż tym, którzy je czytali przed stu przeszło laty, lecz jak to łatwo zauważyć z przytoczonych wyżej przykładów, są między nimi i takie, które w oświetleniu nowszych czasów dopiero nabierają pełnego wyrazu i zyskują na aktualności.

Charakter i życie prywatne Alojzego Żółtkowskiego pokrywały się najczęściej z jego obrazem i działalnością jako artysty i pisarza. Była w nim jakaś przedziwna harmonia, zupełny brak owego rozdźwięku i rozdwojenia, jaki spotykamy często u najsympatyczniejszych humorystów nawet, którzy wlewając strumienie swego humoru na papierze lub ośmiewając nim innych podczas występów publicznych, w życiu prywatnym okazywali się nieczłowiekami malkontentami, nieuleczalnymi pesymistami i stetryczalnymi zrzędamy. Nasz Żółtkowski był równie wesołym w życiu, jak i na scenie, czy też w swoim „Momusie”. I nie chowając zazdrośnie swego daru wesołości i dowcipu na publiczny użytek, rozsiewał go hojną dłonią między wszystkich swych przyjaciół i znajomych. A musiał mieć zdrowo i mocno na kartku osadzoną głowę, by jej te wszystkie oznaki uwielbienia, zachwytu i podziwu, jakimi był otoczony, nie zawróciły. Wobec ubiegania się o jego towarzystwo wszystkich, poczynając od najwybitniejszych osobistości, a kończąc na szarym tłumie umiał zawsze zachować i utrzymać serdeczną prostotę i pełną wrodzonej godności naturalność.

Lubiany też był i ceniony powszechnie dla dobrego, szlachetnego serca, zawsze śpieszącego bliźniemu z pomocą, tak dalece, że nawet zazdrość ludzka, czepiająca się choćwie każdego powodzenia życiowego, każdej nad tłum wybijającej się jednostki, do niego jakoś nie miała przystępu.

Lubiąc wesołą kompanię i kufelek modnego podówczas piwa dubeltowego, przepędza wiele czasu w „traktierniach” i cukierniach. Tak więc należał do stałych bywalców kawiarni „Pod Kopciuszkiem” przy ulicy Długiej, gdzie schodziła się cała brać literacka i artystyczna, tocząc uczone dysputy o modnych prądach w literaturze, o sztukach teatralnych, pisarzach itd. Oto sławny śpiewak „Wiesława”, cichy, nieśmiały, zatopiony w sobie Brodziński, dalej wesoły, przedziwnie pięknym głosem obdarzony Osieński, niezrównany tłumacz Cornelle'a, rzutki i zasłużony wydawca „Tygodnika” i „Wandy” Bruno hrabia Kieciński, krewniak słynnego Lelewela, aktor i literat w jednej osobie Dmuszewski, późniejszy wydawca Kuriera Warszawskiego, dyrektorowie o-

pary, — Elsner i Kurpiński, wreszcie zaś artyści pod przewodem Żółtkowskiego, więc Kudłicz, Zdanowicz itd. Rej oczywiście wodził Żółtkowski. Tu rzucił słówko, tamtemu coś przyciął, wyśmiał krótkim dowcipem starego Kurpińskiego, dowodzącego uparcie, że język słowiański jest najstarszy w Europie i wszystkie inne, jak że źródła z niego biorą swój początek, lub zabawnym konceptem położył kres jakiejś zapalczywej dyspacie. Lubił też zachodzić do kawiarni, noszącej oryginalną nazwę „Suchy las” oraz do traktierni Szillera, znajdującej się obok starego teatru, a słynącej z najlepszych kapłanów. O lokalach tych przekazuje nam Leon Potocki dwie zabawne anegdoty. Oto jedna z nich, mająca miejsce w 1808 r. za czasów Księstwa Warszawskiego, oddająca pewne napięcie między ludnością Warszawy, a wojskami francuskimi, zachowującymi nierzadko podstawę tak butną, zuchwałą, a arogancką, że przypominała raczej rozpanoszonych zwycięzców, aniżeli sprzymierzeńców, wybawicieli i przyjaciół.

Otóż zdarzyło się razu pewnego, że kiedy Żółtkowski, otoczony jak zwykle licznym kołem wielbicieli, siedział przy ulubionym kufelku w pierwszym pokoju „Suchego Lasu”, podczas gdy w trzecim zdala od gwaru Dmuszewski czytał gazety, drzwi rozwarły się nagle, ukazując butną postać oficera z korpusu Davoust'a, a który nfe zdejmując kapelusza z głowy, rozsiadł się przy stole, zamawiając kawę. Zebrani spojrzeli po sobie z gniewem i oburzeniem tym większym, że bezsilnym, jako że nie śmiało wszczynać awantury i psuć przyjaznych stosunków z Francuzami, z którymi związano swe losy w których tak wielkie nadzieje pokładano. Żółtkowski odgadł po minach, co się w sercach działo i nie tracąc zwykłej fantazji, zobowiązał się udzielić Francuzowi, zdrowej, a zasłużonej nauki... za cenę wazy ponczu na uczenie zwycięstwa. Gdy zebrani przyklasnęli obojętnie, z radością wyrażając swą zgodę, Żółtkowski zawałał do siedzącego w trzecim pokoju i o niczym nie wiedzącego Dmuszewskiego.

„Panie Dmuszewski, jak to się nazywa ten rodzaj kapeluszy, co się na głowę nie kładzie, a tylko pod pachą nosi?”

„Chapeau bas”, odpowiedział Bogu ducha winien Dmuszewski.

„Jak?”

„Chapeau bas”.

„Głośniej, bo nie słyszę!”

„Chapeau bas, chapeau bas”, krzyknął na cały głos Dmuszewski, ku niewymownej ucieśce gości z pierwszego pokoju, a konfuzji Francuza, który sądząc, że to przesłoga przeznaczona dla niego, domyślił się nareszcie, że należy zdjąć ten nieszczęsny kapelus, gdy na stole zjawia się w mig waza gorącego ponczu, którą wśród rozgłośnego wesela i triumfalnych okrzyków wysuszono wnet za zdrowie zwycięscy.

Następne zdarzenie miało miejsce w sześć lat później. Znany pisarz, filozof i polityk, Kalasanty Szanławski, przeznaczony do asysty księcia Adama Czartoryskiego, udającego się na kongres do Wiednia, spotkał się przed wyjazdem z Żółtkowskim w traktierni Szillera i przysiadłszy się do niego, odezwał się żartobliwie w te słowa, —

„Panie Żółtkowski, jadę jutro na kongres, może mi co polecisz, albo dasz jaką radę?”

„Polecieć nie mam prawa”, odparł bez namysłu zagadnięty, „dać radę i to zbawienną mogę. Jedziesz pan na kongres wszystkich europejskich monarchów, pewnie tam i o nas będzie mowa, radzę więc, abyś wszedłszy na posiedzenie, zdjął perukę z gołej głowy i powiedział, — panowie — oto jest stan mojego kraju!”

Śmierć zaskoczyła Żółtkowskiego w pełni sił męskich i rozkwitu talentu. Na parę chwil przed śmiercią odwiedził go znajomy literat, Franciszek Salezy Dmochowski, syn zasłużonego tłumacza Illady. Jak

to zazwyczaj się robi w stosunkach z ludźmi ciężko chorymi, Dmochowski udając, że nie dostrzega jego poważnego stanu, pocieszał go nadzieją szybkiego powrotu do zdrowia. W tak młodych latach, w sile wieku łatwo przecie jest przezwyciężyć chorobę. Co innego, gdy organizm stary już i wyniszczony. Żółtkowski prędko przerwał jego wywody.

„Panie Salezy, ja jestem stary, bardzo stary, to już mi się niewiele należy na tym świecie”.

„A wieleż lat pan sobie liczył?”

„Zagadnął go zdumiony literat.

„Dziwiędziesiąt dwa”.

„Jakże to?”

„Dwa razy tyle jadłem piłem, używałem, co drudzy”, brzmiała na wpuł żartobliwa, na wpuł zaś melancholijna odpowiedź, „to i moje czterdzieści sześć lat życia liczą się za dziewięćdziesiąt dwa. Widzisz więc pan, że wiedza lekarska nie mi nie pomoże”.

Jakoż wkrótce sprawdziły się jego słowa. Zmarł dnia 11 września 1822 r. osieracając małego synka i żonę. A smac mimo wyczerpanej pracy, rozlicznych i różnorodnych zajęć nie musiał pozostawić po sobie znacznego majątku, skoro w parę lat po śmierci wydano operę jego „Szarlatan czyli wkrzeszenie umarłych”, z muzyką Karpińskiego, przeznaczając dochód uzyskany ze sprzedaży na wystawienie mu pomnika na Powązkach. Do wydania dołączono litografowany portret artysty wraz z podpisanym pod nim dwuwierszem, który stanowił już ostatni, pośmiertny hołd złożony pamięci ulubionego niegdyś aktora, przez rozkochaną w nim publiczność.

„Mistrzowskim w sztuce swojej postępującym torem

Był rozkoszą słuchacza, a grającego wzorem”. WANDA KIESZKOWSKA

## Z ksiązek

Szczepan Jeleński — POD BŁĘKITAMI, Wielkopolska Księg. Wydawn. Poznań 1947 r.

Chcąc coś napisać o książce Jeleńskiego „Pod Błękitami” — katolik staje przed dość trudnym zadaniem. Z jednej strony musi ustosunkować się jak najpozytywniej do ogólnej tendencji książki, a z drugiej strony postawić wiele, ale to wiele zastrzeżeń co do formy i treści.

Główny trzon książki stanowią rozmowy, przewaźnie na tematy astronomii i zagadnień fizyki współczesnej, próby sformułowania nowoczesnego światopoglądu, gdzie astronomia staje się poniekąd podkładem dla uplastycznienia sobie pewnych abstrakcyjnych pojęć. Przeprowadzone jest bardzo konsekwentnie rozumowanie o planowości i celowości budowy wszechświata, o wzajemnej współzależności zjawisk we wszechświecie i roli jednostki ludzkiej pojętej jako „ucieleśnione dusze”.

Byłoby o wiele szczęśliwiej gdyby autor ograniczył się do tych pięknych i ciekawych dyskusji, podobnie jak to uczynił w doskonałych „Świątyniach tajemnic”. Niestety dał się unieść chęci uczynienia tych rozważań bardziej ciekawymi „biorącymi” czytelnika.

Tendencja w zasadzie słuszna — nie wyszła na dobre całości książki. Wątek romansowy „rozpowieści” jest b. słaby, naiwny, zupełnie nieprzekonywujący. Niezbyt szczęśliwe dialogi, prowadzone są językiem pełnym afekcją i pozy. Bohaterowie zupełnie nieprawdopodobni. Główna bohaterka, 24-letnia panna Wera mimo braku specjalnych studiów jest chodzącą encyklopedią i dziewczyną pozbawioną jakichkolwiek wad. Podobnie niezwykłe są prawie wszystkie osoby występujące w książce z wyjątkiem p. Łęskiego seniora, predestynowanego na czarny charakter.

Najdziwniejsza jest atmosfera Rozan. Akcja rozgrywa się współczesnie, ale tam życie zatrzymało swój bieg. Nie ma w dyskusjach mieszkańców żadnego zainteresowania dla otaczającego ich życia, zagadnień i przemian, które tak zasadniczo przetrwały nasze społeczeństwo.

Pomimo że autor zastrzegł się w podtytuł, że książka nie jest powieścią, tym niemniej dał wycinek z życia i to go obowiązywało do pewnego realizmu.

Ten szereg niedociągnięć sprawia, niestety, że książka w dużej mierze chybia celu: poważnego czytelnika zrazi naiwność fabuły — tego zaś kto z chęcią przeczyta „przekomarzenia” się bohaterów, nie pociągnie właściwy wątek myślowy książki.

Stanisław Podlewski

# Przemarsz przez piekło <sup>18)</sup>

## Ostatnie chwile Starego Miasta

### KRZYŻOWA DROGA

Zginęły dwie łączniczki sztabowe ppulk. Radosława, przydzielone z „Parasola”: Marta, mająca nie więcej jak piętnaście lat, ranna w drodze z Sapieżyńskiej do Szpitala Jana Bożego i najbliższa jej przyjaciółka Dewajtis (Dziembowska Elżbieta), odznaczona już w konspiracji Krzyżem Walecznych.

W pewnej chwili od drzwi korytarza do sali, gdzie leżą ranni widać jasny blask.

— Ogień — ktoś krzyczy.

Zajął się drewniane schody, — jedyne wyjście z podziemi zagroziły płomienie.

— Bądźcie przygotowani — może trzeba będzie stąd wyjść.

Ogień powoli posuwa się po schodach. Kilku rannych z trudem wlecze się, czepiając się łóżek i stołów w ciemnościach i posuwając się ku wyjściu.

Mignęła jasna, niska postać wśród isker i dymu. To dr. Halina (Słameczyńska) przez płonące schody wybiega na powierzchnię.

Blask słońca oślepiła ją na chwilę, przeciera oczy i nagle dostrzega grupę postaci w hełmach i z pistoletami. Dopada do najbliższego — zapewne oficera. Jednym tchem wyrzuca z siebie.

— Tam są ranni.

Niemiec zaskoczony — odsuwa ją szerokim ruchem ręki. Powoli wyciąga z oficerskiej torby ładunek, zakłada do pistoletu.

— Co pan robi? — Tam są ranni, wasi żołnierze — Niemcy.

Niemiec kieruje pistolet ku słońcu. Z sykiem wylatuje w niebo czerwona rakietka ku szybiącemu samolotom.

— Co pan robi?

— To znak dla naszego lotnika, żeby tu nie rzucał bomb.

— Rozumiem.

— Gdzie są nasi ranni?

— W schronie. Pała się do niego schody.

Jakgdyby na potwierdzenie jej słów z ognia i isker wydobywają się nadludzkiem trudem okrwawione postacie, z opalonymi brwiami, włosami, z płonącą bielizną i bandażami.

Niemcy stoją nieruchomo. Nie widać najmniejszego odruchu współczucia.

Oficer daje rozkaz, aby wynosić rannych. Ogień szybko zostaje ugaszony. Na noszach, kocach i prześcieradłach wynoszą ciężko rannych powstańców.

Sanitariuszki zwracają Niemcom uwagę, że na sali opatrunkowej pod palącymi się gruzami pozostało wielu rannych i trzy pielęgniarki.

Żołnierze machają rękami obojętnie.

Wynosić rannych! Schnell.

Na Placu Bankowym będą karetki. — Oczywiście kłamstwo.

Zjawił się lekarz wojskowy, Niemiec. Chodził wśród rannych. Widać było wyraźnie, że jest wstrząśnięty tym widokiem.

Kazał załadować na samochód ciężko ranną kobietę.

Ledwie samochód ujechał kilkadziesiąt metrów, musiał się zatrzymać, obskoczyła go gromada esesmanów.

— Gdzie ty je będziesz woził. Pobawimy się z nimi po swojemu, a potem — zrobimy fertig.

— Wszystkie są ciężko ranne!

— Wyzdrowieją w naszych ramionach.

— Rozkaz jest rozkazem, muszę je zawieźć. Samochód odjeżdża.

Tymczasem z piwnic wychodzą ludzie widma. Mieszkańcy Starówki, chwytają skwapliwie za nosze. Rannych chyba nie będą mordować, przy nich i oni ocaleją. Pochód posuwa się krok za krokiem. Czują pod nogami gładką nawierzchnię ulicy Chłodnej, Wolskiej. Już uprzątnięto gruz na tej trasie. Na chodnikach stoją grupy Niemców operatorów, trzaskają aparaty filmowe, słychać różnorodny głosy.

Niemcy coraz to podbiegają do rannych, zatrzymują grupy, obdarzają chlebem. Któryś z żołnierzy wiesz pistolet na szyi, bierze od starej kobiety nosze i niesie kilka kroków — tyle, aby uchwycić taśmę, inny znów coś nalewa ze swojej manierki dziecku. Niech świat pozna humanitaryzm i wspaniałomyślność Niemców. Przy Młynarskiej dziewczęta Czerwonego Krzyża rozdają w kubkach kawę, pomidory i chleb.

Filmowcy wciąż kręcą i kręcą.

I świat im wierzy...

Z Wąskiego Dunaju, Rycerskiej, z Zapiecka, Freta i wielu innych ulic ciągną gromady ludności cywilnej, pną się przez siwe usypiska gruzów i runowiska, sięgające do pierwszego piętra, przechodzą przez zawałone głuche ulice, wymarłe podwórza, gramolą się przez leje, zapory przeciwczołgowe, przeciskają się przez ciasne przejścia w barykadach, między grobami.

Jakiś starszy pan, nie ma już sił iść dalej, osuwa się na ziemię. Esesman kopie go z wściekłością podkutym butem i szczuje psem. Duży wilczur, specjalnie tresowany rzuca się na leżącego.

Nie jedna taka kolumna musiała już tędy przechodzić.

Droga znaczone jest rdzawymi śladami krwi, porzuconymi tobołkami i walizkami.

Na zboczu jednej z barykad, leży młody chłopiec o kulach, zapewne — ranny powstańca, zastrzelony przez eskortę. Twarz ma zwróconą do słońca, po ustach rozłożonych po oczach otwartych i skrzepach krwi, ruchliwie krzątają się wielkie, czarne muchy. Wielu ludzi leży twarzą do ziemi, rękami zastaniając oczy i uszy, aby nie widzieć, czy nie słyszeć tego ostatniego strzału. W tej ostatniej chwili życia zabrakło im odwagi. To ci, którym nogi odmówiły posłuszeństwa, nie mogli iść dalej.

Z rozkopanych pociskami świeżych mogił, z rozkładających się we wrześniowym upale setek tysięcy nieopogrzebanych ciał bije straszliwy fetor.

Przez ziemię przeczną, przez usypiska posuwa się koszmarny pochód ludzi wynędzniałych, zgarbionych, zaszczutych, napół przytomnych, mających jeszcze w oczach łuny pożarów i mogił, wśród gruzów. W pewnej chwili z ciągnącej w grobowym milczeniu gromady zrywa się jakiś rozdzierający krzyk kobiety i osadza wszystkich na miejscu. Oczy jednej z kobiet dostrzegły zwłoki córki — łączniczki. Matka chce je zabrać ze sobą, biega, aby jej ludzie pomogli. Wachmani stają zaskoczeni, coś między sobą mówią i zwłoki zostają. Nieszczęśliwą kobietę biorą towarzysze pod ramiona i pochód rusza.

### MATKA

Na jednym z placów, na tle panoramy ruin wież i murów, wokół wysokiego białego usypiska gruzów, czernią się świeże mogiły z zatkniętymi na niskich krzyżach hełmami. Jeden z wielu powstańczych cmentarzy w staromiejskiej dzielnicy.

Wpatrzona przed siebie siedzi bez ruchu jakaś ciemna postać. Wyciągnęła ręce jak do modlitwy, czy błogostawieństwa, zdaleka rzekłbyś — figura, Esesmani dostrzegają ją, dają znaki krzykiem i wystrzałami. Głos ich odbija się echem w cmentarzysku ruin. Niemcy zbliżają się do kobiety. Błada, wycieńczona, błędnym wzrokiem wodzi po mogiłach. Nie obchodzą jej ani ci ludzie, ani to wszystko, co wokół niej się dzieje.

Nieszczęśliwa matka, całe dni spędza na mogiłach swoich synów. Najsilniejszy ogień artylerii, ani wybuchy bomb nie zdołały jej od nich oderwać.

Mówią jej teraz, że walki ustały, że cała ludność musi opuścić Starówkę.

Ja tu się urodziłam — szepcze — tu leży mój mąż, tu pochowałam moich trzech synów, poległych w walce, zostaną z nimi... zostaną...

Prośby nie odnoszą żadnego rezultatu.

— Ja tu zostanę, ja tu zostanę — szepcze sinymi wargami. Żołnierze szarpia i szamoczą się z nią, ciągną po gruzach. Rozłożonymi rękami chwytają się mogiły jednego z synów, palcami wpija się w nią. Niemcy nie mogą jej oderwać.

Oprawcy zwracają się do rosłego esesmana, aby jej dał spokój. Nie wiele już się jej należy, będą mieli tylko z nią w drodze kłopot. Odchodzą kilkanaście kroków, naraz esesman odwraca się i oddaje kilka strzałów do leżącej.

### DROGA UCZONYCH

Przez ulicę Bednarską wlecze się gromada mieszkańców. Wśród nich jest wielu uczonych profesorów i docentów Uniwersytetu Warszawskiego ze swoimi rodzinami. Niemcy wygarnęli ich z nowoczesnego domu profesorskiego na Brzozowej 12. Uczenci pozostawili tutaj cały swój wieloletni dorobek naukowy, niewydane prace, bogate zbiory, pracownice, biblioteki.

Niemcy pędzą ich przez puste, wymarłe ulice, znaczone trupami, porzuconymi tobołkami, wrakami spalonych czołgów; dobijają potykających się i zostających w tyle strzałami z peemu. Wśród uczonych jest wiele osób starszych, schorowanych i rannych. Często więc rozlegają się wystrzały.

Wąły i niski Tadeusz Kotarbiński, znany filozof, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, ostatkiem sił niesie głęboko pochylony, półżywą sparaliżowaną matkę jednego z kolegów, gdy wielu innych młodszych i silniejszych uczonych stara się jedynie uratować coś ze swojego dobytku naukowego, czy z majątku. Pot spływa mu strugami po bladej twarzy, widać ogromny wysiłek w każdym kroku. Tak cudnie wciela w życie najwznioślejsze nauki Chrystusa o miłości bliźniego — on głośno wołomyśliciel, antyklerykał.

Wśród tej gromady jest i prof. Julian Krzyżanowski, znakomity historyk literatury polskiej, odważny i niestrudzony organizator studiów polonistycznych na tajnym uniwersytecie. Swoim wysiłkiem, doprowadził do tego, że liczba studiujących osiągnęła 185 osób. Jest ranny w obie nogi, siny i wyschnięty. W ostatniej chwili, gdy Niemcy wtargnęli i podpalił gmach domu wynieśli go z piwnicy dwaj księża.

Profesor widział jak idzie z dymem, już drugi w tej wojnie cenny księgozbiór, bogaty w pierwodruki, rękopisy Orzeszkowej („Ad Astra”), własny rękopis „Słownika Literackiego”, olbrzymie kartoteki literackie, kartoteki bajek, kilkaset tomów, wykradzionych z narażeniem życia, z opieczętowanego przez okupantów Seminarium G. Korbuta, zbierane z takim trudem, pierwodruki Mickiewicza, Słowackiego.

Coraz to, z tej gromady, wlokącej się ostatkiem sił kogoś ubywa.

Pod murcem ogrodu Saskiego pada wyczerpany Zygmunt Batowski, historyk sztuki, człowiek o gołęmbim sercu.

W dalszej drodze ginie wraz z żoną Stanisław Lencewicz.

### STAROMIEJSKI ROBINSON CRUSOE.

Spora grupa ludzi wlecze się po gruzach wąskimi, krętymi i spadającymi ku Wiśle uliczkami.

Sanitariuszki z trudem niosą rannych przez zwaly gruzów. Wielu rannych opierając się o jakieś kostury i kije stara się nadążyć. Wśród nich jest ojciec Tomasz w sutannie i z gołą głową.

Esesmani opróżniają szpitale swoim wypróbowanym sposobem. Wpadają do ruin kościoła świętego Jacka, gdzie jeszcze przebywała nieomal cudem ocaleni, ranni i rzucają granaty. Poco mają się trudzić...

Nieustannie rozlegają się okrzyki: Loss! Ra-us!, tepe uderzenia kolbami. Ktoś padł. Niemcy nie pozwalają matkom nieść swoich dzieci na rękach. Drepczą więc małenstwa po gruzach i wertepach zanosząc się od placu.

Z Powiśla dochodzą głuche egzekucyjne salwy i rozzdzierające krzyki. Coraz to ktoś próbuje się od kolumny oderwać. Tak dać się zamordować...

Gdy powoli posuwający się pochód rozciągnął się w spadzistej wąskiej uliczce, ojciec Tomasz skacze nagle w bok, zapada w jakichś gruzach, podziemiach. Gonią za nim salwy, lecz ukryły go bezpiecznie podziemia staromiejskie.

Kolumna dochodzi do Marienstadtu. Targowisko czerni się od ludzi.

Nadjeżdża w samochodzie jakiś drab bez czapki, w mundurze Gestapowca. Wybiera kilkudziesięciu młodych mężczyzn, każe im ustawić się twarzą do ściany. Obsada c.k.m. czeka tylko na komendę: „Feuer”

Teraz rozdzielają mężczyzn, ustawiają w szeregi, w długie kolumny. Nadjeżdżają czołgi, aby ich eskortować...

Jakiś kilkunastoletni chłopiec wyrwa się z szeregu, aby oddać matce pakunek, lecz ta rzuca mu się na szyję. Dwóch Ukraińców okłada ich nahajami, próbując ich rozdzielić — napróżno. Kolumna rusza, Niemcy wpychają w nią matkę z synem.

Nad tłumem pojawiają się samoloty. Leca nisko, co raz niżej zataczając koła.

Wszyscy odnoszą wrażenie, że lada chwila padną bomby, lecz samoloty krążą tylko, jak gdyby chciały nacieszyć się widokiem męczarni zdrgniętego tłumy, błagającego Boga, aby już raz to wszystko się skończyło. Potem kierują się nad Stare Miasto. Po chwili słychać straszliwe detonacje.

Przez trzy tygodnie przebywa ojciec Tomasz w staromiejskim cmentarzysku wśród nieopogrzebanych tysięcy zwłok. Wyszukuje sobie z trudem wodę, żywność. Czasem zauważy gdzieś buszujące po wymarłych ruinach bandy SS-manów lub spędzonych męczarni rozgrzebujących gruzy i szukających wartościowych przedmiotów i dzieł sztuki. Za wiozą je Niemcy aż do Bergen - Belsen.

Drużyny pionierów kuja w ściany zakładając ładunki celem gruntownego wysadzenia ruin Zamku, Katedry Królewskiej i świątyni.

Ojca Tomasza ratuje od głodowej śmierci kogut, który jakimś cudem zaplątał się tutaj. Upolował go i przyrzadził jak Robinson Crusoe na bezludnej wyspie. Po trzech tygodniach udaje mu się przedrzeć przez łańcuch straży i placówek do Milanówka, gdzie przebywa ksiądz arcybiskup Szlagowski, ksiądz infułat Choromański i ksiądz kanonik Majewski. Tu znajduje schronienie w zakonie sióstr Magdalenek.

Tymczasem Niemcy wciąż przeszukują ruiny świątyni, chcą odnaleźć srebrną trumnę z relikwiami Andrzeja Boboli.

Po kapitulacji stolicy ojciec Marian Nowak, z T. J., kapelan sióstr Magdalenek z Walendowa, uzyskuje zezwolenie od Niemców na przyjazd do Warszawy. Udaje się na Stare Miasto z wozem i kilku ludźmi, niby dla zabrania dokumentów z klasztoru na Świętojańskiej. Wśród wywożonych rzeczy udaje mu się niespostrzeżenie umieścić wyjęte spod gruzów kościoła św. Jacka relikwie Andrzeja Boboli i cudowny krucyfiks z Katedry Królewskiej. W Milanówku jest już uniesione z Kościoła Św. Krzyża serce Chopina.

Z Wąskiego Dunaju, z Rycerskiej, Zapiecka, Krzywego Koła, Freta i z wielu innych ulic ciągną gromady wynędzniałych ludzi do budynku szkoły w parku R. Traugutta. Tutaj przez megafon dowiadują się, że wika Ilczesa i führer wspaniałomyślnie darowują im życie — pojedają na przymusowe roboty na teren Zachodniej Polski, będą „sprawiedliwie płatni”.

Pędzą ich przez puste wymarłe ulice, znaczone trupami, do kościoła na Woli.

Tu przeprowadzane są rewizje, rabunek resztek wyniesionego mienia. Potem transport prowadzi na Dworzec Zachodni i stąd do Pruszkowa, wielkiego obozu, na terenie warsztatów kolejowych. Tutaj następuje segregowanie ludzkiego materiału. Rozdzielają matki od dzieci, żony od mężów, ładują w wagony gorzej niż bydła, ile tylko mogą pomieścić, poczym długie węże pociągów suną na zachód, mijają granice Polski, jeszcze jedna zbrodnia niemiecka.

dokończenie nastąpi

Drukowana w odcinkach „Dziś i Jutro“ powieść

STANISŁAWA REMBEKA

„Wyrok na Franciszka Kłosa“

została już wydana w książce przez Wydawnictwo

E. KUTHANA — Warszawa — pl. Trzech Krzyży 12

Cena złotych 400.—

Wysyłka za zaliczeniem pocztowym po zamówieniu w Wydawnictwie

# Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji oraz nazwą miejscowości). Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku (z wzięciem na orak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO“

Po powrocie z USA do Polski wpadł mi w ręce numer „Dziś i Jutro” poświęcony wspomnieniom z Powstania Warszawskiego. Interesujące wspomnienia p. Tonchu Ru wymagają jednak pewnych wyjaśnień w części dotyczącej służby sanitarnej KN-u. P. Tonchu Ru stałby czas Powstania była łączniczką w linii, toteż informacje jej związane z opisem historii szpitala Karola i Marii zaczerpnięte są od osób trzecich, a przez to nieścisłe. Chodzi mi przede wszystkim o skorygowanie tonu wypowiedzi p. Tonchu Ru, z którego wynika, że służba sanitarna KN-u odegrała w tym szpitalu jakąś decydującą kierowniczą rolę. Tak nie było. Sanitariat KN-u spełnił oczywiście swój obowiązek w ramach swych umiejętności i przydziałów funkcyjnych w szpitalu Karola i Marii, niemniej jednak oddanie tego szpitala do dyspozycji AK, poprowadzenie i ocalenie, jest wyłączną załugą stałego personelu. Z informacji p. Tonchu Ru wynika, że naczelny lekarz był tchórzem, tymczasem naczelnego lekarza w ogóle nie było w czasie walk na terenie szpitala, a pełniący jego funkcję dr Bogdanowicz, którego cała rodzina walczyła w powstaniu, odznaczył się wyjątkową odwagą i poświęceniem, pozostając w szpitalu z dziećmi już po jego ewakuacji, gdy teren szpitala znalazł się między pozycjami polskimi i niemieckimi. Dr Chroboki prowadził oddział chirurgiczny, operując dzień i noc przez pierwsze dni Powstania, gdyż do przybycia dra Kmińkiewicza był jedynym pełnowartościowym chirurgiem. Lekarze byli wyczerpani intensywną pracą, jeśli więc w tych warunkach odpocząć który w bezpieczniejszym miejscu, to nie należy tego traktować jako siedzenie w szafie, lecz jako odpoczynek konieczny dla wykonania następnego zabiegu. Również wyjątkową ofiarnością odznaczył się personel pielęgniarski tego szpitala. Jedyną osobą, wobec zachowania której możnaby mieć zastrzeżenia, był jego komendant z ramienia AK, ale to jest już inna historia.

Kwestia ewakuacji szpitala po zajęciu go przez Niemców nie ma nic wspólnego z działalnością sanitariatu KN-u. Ewakuację zarządzili i przeprowadzili Niemcy, rannych pozwolili wynieść ze szpitala nie na skutek próśb KN-owców, lecz po prostu zniechęcili się strzelaniem do poszczególnych rannych na salach szpitalnych i woleli zlikwidować ich przy pomocy ckm-ów ustawionych na roku Młynarskiej i Górczewskiej.

Bardzo proszę o możliwie szybkie zamieszczenie moich wyjaśnień, gdyż mimowolna krzywdą wyrządzona przez p. Tonchu Ru szpitalowi Karola i Marii wymaga zadośćuczynienia.

Jerzy Hagmajer, lekarz

## Do Redakcji „Dziś i Jutro“

### DO POJEDYŃKU: KISIELEWSKI — LICHNIK MOJE TRZY GROSZE

Stefan Kisielewski, uważany za „enfant terrible” katolickiej publicystyki, gdyż wykracza poza szablony przeciętności, wywołał prawdziwą burzę w szklance wody, swoim felietonem, zamieszczonym w tygodniku „Dziś i Jutro”. Replikował mu, natychmiast, na gorąco, w tym samym jeszcze numerze, zacępiony p. Zygmunt Lichnik, przy akompaniamencie p. Tata, w numerze, z tego samego dnia, „Słowa Powszechnego”.

Tą „bombą atomową” Kisielewskiego, która wywołała wybuch burzy, było zdanie: „to, co jest piękne, jest zarazem moralne”.

Czy Kisielewski się myli, czy mówi to tylko, dla wywołania efektu? Sądzę, że nie. Dlatego, że się z nim zgadzam, pozwolę sobie, mimo małoważności mojego zdania, uzasadnić słuszność tego twierdzenia. Czy potrafie

## „HITLERIADA MACABRA“

Szanowny Panie Redaktorze! Przechuwając w Panu troskę o moralność polskiego społeczeństwa, zwracam się z prośbą o zamieszczenie w tygodniku „Dziś i Jutro” następującej uwagi.

Zwiedzając Międzynarodowe Targi Gdańskie w ich sopockim przedstawicielstwie, natrafiłem w pawilonie „Książki i wydawnictwa (określenie własne) na gablotę kolorowych szkieł, przedstawiających okres rozpanoszenia niemieckiej okupacji. Trzy z nich, z cyklu zatytułowanego „Hitleriada macabra”, rzucają się szczególnie w oczy doborem tematu. W prawym rogu na dole — naga kobieta wisząca tyłem do widza na poprzecznym drążku przed rozsiadłym naprzeciw niej hitlerowskim pacholem, zabijającym się najszybciej w kontemplacji jej aktu. W lewym dolnym narożniku — SS-mann chłuszczący pejcem po krzyżu i poślachach, kragają, na różowo podbarwioną niewieścią nagość — i zbiorowy zabieg zwyrodniałego popędu — u góry.

Rozumiem, że zbrodnie nazizmu nigdy nie mogą być zanadto napiętnowane i przypomnienie o nich, zwłaszcza zagranicą, nie może być za częste. Czy nie można się jednak ograniczyć do poważnej, rzeczowej formy, bez wystawiania na widok publiczny pornografii pozbawionych kompletnie artystycznego wyrazu? To kilczowate przedstawienie ludzkiego zwyrodnienia jeżeli budzi oburzenie, to przede wszystkim na tego, kto tak odtworzył wszechpajając w widza odczucia, którym ulegali oprawcy.

Czy zdeprawowana germańska dusza musi po dziś dzień, za pośrednictwem bohema, plamić wyobraźnię zwiedzających wystawę, nie zawsze powyżej lat 18-tu?

„Targi Gdańskie” dobiegają końca, ale może chociaż na przyszłość uda się uniknąć tego rodzaju „Hitleriady”.

Z poważaniem

W. G.

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO“

W doskokalnym — jak zwykle — artykule p. J. Meysztowicza pt. „Rozważania o racji stanu” („Dziś i Jutro” Nr 33) znajduję się zdanie, z którym nie mogę się zgodzić. Brzmienie: „Mierz siły na zamiary” jest absurdem, na który stać było tylko Mickiewicza w poetyckiej przenośni. Otóż — moim skromnym zdaniem — nie jest absurdem to, co chciał wyrazić i wyraził Mickiewicz, lecz jedynie i wyłącznie — z gruntu fałszywe znaczenie, jakie się tym słowem zdawna a beznamiętnie przypisuje, wskutek tak u nas! — niestety — powszechnego braku chęci czy zdolności samodzielnego myślenia, co już przeszło sześćdziesiąt lat temu piętnował w swych „Kronikach Tygodniowych” Bolesław Prus (vide m. in. „Kurier Warszawski” z 11.1.1886 r.).

Cytowane słowa Mickiewicza uważane są więc powszechnie za wskazanie wieszacza, usprawiedliwiającego wszelkie najbardziej nawet niepożyteczne, bo pozbawione jakichkolwiek realnych podstaw poczynania, aż do przysłowiowego porwania się, z motyka na słońce” włącznie. W istocie zaś jest inaczej.

Mam wrażenie, że dla udowodnienia tej tezy zbędne są — przy najmniej na tym miejscu — jakiegokolwiek dociekania historyczno-literackie analiza utworu, w którym zdanie to jest zawarte, epoki i okoliczności jego powstania itp. Wystarczy zwykła logiczna interpretacja rzeczonych słów. Z tej zaś jasno wynika, że poeta, używając do mierzenia sił, wyklucza tym samym możliwość dysproporcji pomiędzy celem a środkami do jego osiągnięcia. Jest to więc po prostu słuszne i przeczorne wezwanie do racjonalnej gospodarki własnymi siłami, do ich wzmagania i gromadzenia aż staną się wspólnie z zamierzonym wielkim celem. Inaczej mówiąc poeta używa do stałego rozwoju i postępu, odrzucając kwiatyżym polegający na zakreślaniu celów w granicach aktualnie posiadanych środków („Nie zamiar podług sił”).

Identyczną zresztą z powyższą interpretacją słów Mickiewicza myśl wyraził Goethe mówiąc: „Der Mensch steigt mit seinem Ziel”.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

St. Sz.

## SZ. REDAKCJA „DZIS I JUTRO“

W nrze 33 (90) pisma „Dziś i Jutro” p. Z. Jakimiak poruszył niezmiernie istotną sprawę, która obchodzi cały świat katolicki, ponieważ omawia

śpiew ludu w kościele. Sz. Autor opiera się o list dra Putka z „Myśli Chłopskiej” i, godząc się z wywodami jego, stawia ze swej strony pewne dość mocne uwagi.

Nam się wydaje, że omawiana sprawa zawsze jest otwarta i winny w niej zabrać głos nie tylko cywilni słuchacze nabożeństw kościelnych, ale i kompetentne władze duchowne.

Dr Putek, a z nim p. Jakimiak, potępiają dzisiejszą muzykę kościelną na organach oraz dzisiejszych mistrzów tej muzyki organistów; ci ostatni jako ludzie nie przygotowani odpowiednio, tylko zniekształcają śpiew. Organy zainstalowały się w wieku XIX u nas; przedtem byli kantorzy, ludzie specjalnie przygotowani, wykształceni i zaprawieni do swego zawodu nauczania śpiewu; wtedy śpiew stał na odpowiednio wysokim poziomie kulturalnym.

Nie można nie zgodzić się z pp. przedmówcami, potępiającymi śpiew dzisiejszy w ogóle, owszem śpiew nie jest idealny. Słychać często śpiewy np. dożynkowe, które pozostawiają wiele do życzenia. Śpiew po parafiach nie jest odpowiednio traktowany i postawiony na właściwym miejscu, gdyż parafia wyręcza się osobiście w śpiewie kościelnym muzyką na organach. Nie przygotowani odpowiednio nauczyciele śpiewu organistów wywiązują się z włożonych zadań niedostatecznie, stąd też ujemny stan nauki śpiewu, na który uskarżają się pp. autorzy. Należy przysłać im rację. Popatrzmy na kraje, gdzie po świątyniach nie ma organów; występują tu śpiewacy, głos ludzki, głos żywy, który inaczej działa na nerwy ludzkie, inaczej brzmi. Nawet na Ukrainie śpiewy często są dość udane; pieśni ukraińskie wykonywane na głosy, mają wielu chętnych słuchaczy, jakkolwiek nie mają nastawienia z góry przez fachowców pieśniarzy, ale dobrane są przez kogokolwiek z domowych śpiewaków. Jeżeli tu „rok duży, krok naprzód” — bo z braku organów musi ludność śpiewać, kształcić się w tej mierze i doskonalić, to tym bardziej sprawa dojrzała u nas.

P. Jakimiak proponuje śpiew gregoriański, który zalecają też zarządzenia papieża Piusa X i XI; na taki śpiew zdobył się ks. proboszcz w Niegowie, gdzie autor został niezmiernie wzruszony, kiedy usłyszał śpiew łaciński wykonany przez chłopów i robotników w kościele.

Z wielu jednak motywami p. J. trudno się na razie pogodzić. Jest zdania, by cały kościół śpiewał, bo tylko ryby nie mają głosu. Owszem, wiele pieśni śpiewa i obecnie cały kościół, jak np. pieśni patriotyczne, koledy na Boże Narodzenie itp., w niektórych punktach nabożeństwa śpiewają soliści, których potępia p. J. Nie można powiedzieć, by ludność zasypiała w czasie śpiewu solowego, owszem, chętnie taki śpiew jest słuchany; ludność czyta sobie z książek odpowiednie modlitwy do Mszy św., rozważa w myśli całość nabożeństwa, modli się myślą w skupieniu ducha, mierzający bierze udział w nabożeństwie; właśnie śpiew solowy nastraja religijnie, jest potrzebny. A ilu to wybitnych kompozytorów napisało śpiewy solowe, które śpiewacy wykonują w kościele i podnoszą kult nabożeństwa. Ludność wreszcie dopomina się o nabożeństwa w języku ojczystym zrozumiałym; już dzisiaj w niektórych parafiach śpiewają niezsponsy po polsku. Nauczyciel całą ludność śpiewu łacińskiego jest rzeczniczą.

Pewnie Redakcja udzieli miejsca w tej sprawie innym głosom.

Wincenty Chmielnicki

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO“

27 sierpnia odbyły się w Warszawie uroczystości ku czci członków sztabu Armii Ludowej, poległych przed dwoma laty w Powstaniu. Z perspektywy czasu stać nas na coraz bardziej obiektywny sąd o nich i bezimiennie masie ludzi ich ideologii, którzy oddali życie w walce z Niemcami. W miarę upływu lat sąd ten będzie jeszcze sprawiedliwszy. Dzieliła nas zasadniczo różna orientacja polityczna. Ale już dziś możemy z pełnym uznaniem mówić o postawie zajętej przez nich w momencie zrywu stolicy do ostatecznej rozprawy z ciemiężcą.

Byli w położeniu moralnie znacznie arduńszymi niż żołnierze AK, których dowództwo Powstanie wywołało. Wybrali drogę jedynie słuszną: żołnierz AL stanął ramię przy ramieniu z żołnierzem AK i bił się o Warszawę.

Jeżeli człowiek stawia na kartę życie, w walce o jakąś sprawę, to kwestionowanie szczerości jego intencji może być jedynie dowodem nierumu lub zdecydowanie złej woli. Warszawy alowcy ginęli w Powstaniu, walcząc o Polskę. A, że obraz tej Polski przyszłej, inaczej się w ich oczach kształtował niż w naszych, to nie przesądza o wartości ich czynu. Warto przypomnieć i brać przykład z ich ofiarnej postawy w chwilach kiedy stanowili mniejszość. Nie znaczy to, żebyśmy mieli rezygnować z naszych prawd i dążeń. Oni też, wtedy ze swoich nie rezygnowali. Chodzi o umiejtność całkowitego oddania się sprawie, nawet w okolicznościach najmniej sprzyjających.

K. S.

## ODEZWA

Na skutek przejść wojennych pewna ilość książek, stanowiących własność Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, znalazła się w rękach osób prywatnych. Dyrekcja Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu zwraca się do wszystkich obywateli, posiadających powyższe książki — z gorącym apelem o zwrot tychże pod adresem: Biblioteka Ossolineum, Wrocław, ul. Szewska 37.

Dyrekcja Zakładu jest przeświadczona, że ogół obywateli, doceniając wagę polskiej książki na Ziemiach Odzyskanych, prośbie tej uczyni zadość i że wszystkie książki Ossolineum powrócą w krótkim czasie na właściwe miejsce.

Dyrekcja Zakładu Narod. im. Ossolińskich we Wrocławiu

## Nadesłano

### WYDAWNICTWO „KSIAŻKA“ W WARSZAWIE

- Leon Przemski — RZECZY, KRAJE, OBYCZAJE — obrazki z dziejów cywilizacji, wyd. II przejrzone i poprawione, str. 288.
- Adam Mickiewicz — BALLADY I ROMANSE, Biblioteka pisarzy polskich i obcych nr 3, opracował Stanisław Furmanik, str. 145.
- Molier — MIZANTROP — Biblioteka pisarzy polskich i obcych nr 4, komedia w 5 aktach, przełożył i opracował Tadeusz Boy-Zeleński, str. 181.
- Molier — SKAPIEC — Biblioteka pisarzy polskich i obcych nr 7, przełożył i opracował Tadeusz Boy-Zeleński, wydawnictwo Zakładów Narodowych im. Ossolińskich we Wrocławiu, str. 131.
- Julian Ursyn Niemcewicz — POWRÓT POŚLA — Biblioteka pisarzy polskich i obcych nr 8, komedia w 3 aktach, opracował Wiktor Hahn, str. XXIII+95, r. 1947.
- Walter Scott — BOB ROY, powieść historyczna z XVIII w., przedmowa Andrzeja Tretliaka, tłum. Teresa Swiderska, str. 510.
- Jack London — BIAŁY KIEŁ, powieść, str. 224.
- Stanisław Piętak — MŁODOŚĆ JASIA KUNEFALA, powieść, wyd. III na nowo opracowane str. 192.
- Aleksander Dumas — TRZEJ MUSZKIETEROWIE, powieść historyczna z XVII w., tłum. Stanisław Sierosławski, okładkę projektował Józef Rachwałski, str. 667.
- Włodzimierz Lenin — IMPERIALIZM jako najwyższe stadium kapitalizmu, Biblioteka Klasyków Marksistowskich, szkic popularny, str. 128.
- Juliusz Słowacki — BALLADYNA, Biblioteka pisarzy polskich i obcych nr 9, tragedia w 5 aktach, opracował St. Furmanik, r. 147, str. XVIII+209.
- Franciszek Zabłocki — SARMATYZM, Biblioteka pisarzy polskich i obcych nr 10, komedia w 5 aktach, opracował Kazimierz Czachowski, wstępem opatrzył Zdzisław Libera, r. 1947, str. XI+168.
- Lekarska Spółdzielnia Pracy — VADMECUM lekarza praktyka, str. 715.

### WYDAWNICTWO WŁ. BAKA, POZNAŃ

- J. I. Kraszewski — RZYM ZA NERONEM, obrazki historyczne, r. 1947, str. 248.
- J. I. Kraszewski — SZALONA, powieść, przedruk i wydania książkowego, 2 tomy w jednym, objaśnieniem i posłowiem zaopatrzył K. W. Żwodziński, str. 204.
- Cervantes — DON KICHOT, powieść dla młodzieży, z 8 ilustracjami, str. 192.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-34833